NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 6 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr TEL. 479

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

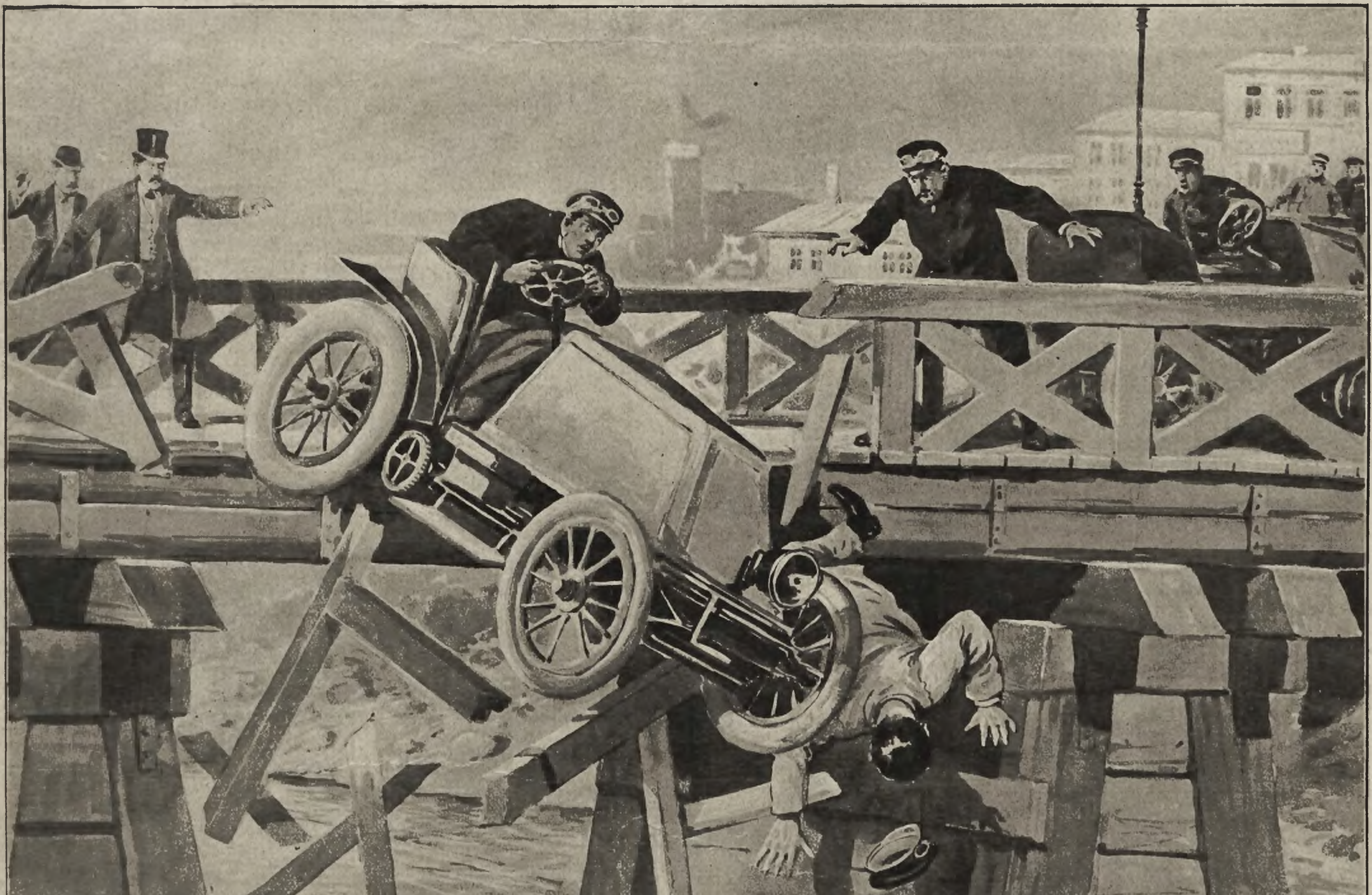
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 10 lipca 1909. Nr. 28.

Straszny wypadek.

(Treść na str. 2.)

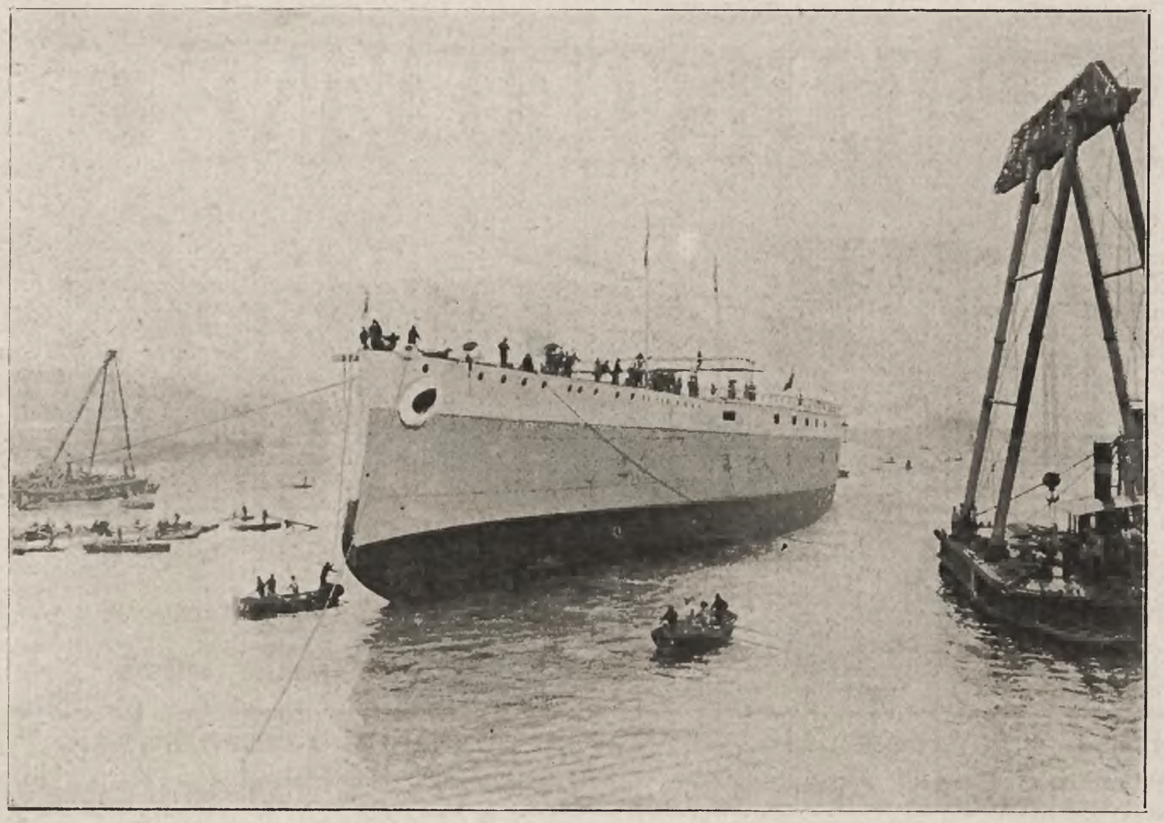


Nr. 28. „Nowości illustrowanych“ zawiera: Zjazd Kółek rolniczych w Krakowie. — Poświęcenie pomnika we Lwowie. — Ciekawa sprawa. — Walka w monastyrze. — Włoska rodzina królewska. — III. wiceprezydent Lwowa. — Wiec egzekutorów podatkowych. — Zacięta walka o mandat. — Chrzciny na dworze królewskim. — Czescy artyści w Krakowie. — Katastrofa kolejowa we Lwowie.

Straszny wypadek.

(Do illustracyi tytułowej).

Najmodniejszy dziś i coraz bardziej rozpowszechniający się środek komunikacyjny, samochód, był już niejednokrotnie przyczyną strasznych wypadków. Nic w tem zresztą dziwnego, gdy się zważy, w jak szalonem tempie pędzą samochody po drogach pełnych zakrętów i niebezpiecznych urwisk.



Największy austro-węgierski statek wojenny: Pancernik „Radetzky“ po spuszczeniu go na morze.

Właśnie niedawno była okolica Moskwy widownią okropnego wypadku, spowodowanego zbyt szybkiem tempem jazdy samochodu. Wypadek zaszedł tuż przed rozpoczęciem wyścigu 100-wiorstowego.

Wedle opisu moskiewskich dzienników, przebieg tragicznego wypadku był następujący. Na samym starcie, w odległości 100 wiorst od Moskwy, przepływa rzeczka Szosza, przez którą przerzucony jest drewniany most. Przed rozpoczęciem wyścigów, gdy wszyscy uczestnicy zawodów zebrani byli na starcie, przejechał obok na samochodzie milioner Wietczynin z palaczem. Obok startu szosa skręca gwałtownie w kierunku mostu. Zanim Wietczynin mógł zahamować maszynę, wjechała ona z błyskawiczną szybkością na most i uderzyła z całą siłą o drewnianą baryerę. Oczywista rzecz, że baryera nie wytrzymała uderzenia i samochód spadł z wysokości dwóch sążni w rzekę, niknąc pod wodą.



Zacięta walka o mandat: Dr. Adam Doboszyński

Wszystko to trwało zaledwie parę sekund. Mimo natychmiastowej pomocy, z jaką pośpieszyli nieszczęśliwym ofiarom wypadku zebrani na miejscu startu sportsmeni, zarówno Wietczynin jak i palacz życie utracili. Zwłoki ich, wydobyte z rzeki, złożono na jednym z samochodów i odwieziono do Moskwy.

Wietczynin był człowiekiem młodym, ożenionym z księżniczką Golicynówną.

Rycina nasza przedstawia tragiczną chwilę, gdy samochód Wietczynina przełamawszy baryerę mostu, spada do rzeki.

Największy austryacko-węgierski statek wojenny.

W uzupełnieniu swej siły zbrojnej, Austro-Węgry zaczynają zwracać baczniejszą niż dotąd uwagę na marynarkę. Zbudowano niedawno temu pancernik „Arcyksiążę Franciszek Ferdynand“, bardzo zbliżony do tak modnych obecnie na całym świecie „Dreadnought'ów“, obecnie zaś przed kilku dniami spuszczono na wodę w Tryeście jeszcze cokolwiek silniejszy pancernik bojowy, nazwany „Radetzky“.

Nowa ta jednostka bojowa marynarki austryacko-węgierskiej ma długości 137 metrów, szerokości zaś 24 metry, zanurza się na 8 metrów, a jego pancerz stalowy waży 3.070.000 kilogramów. Dwie czterocylindrowe maszyny nadają nowemu pancernikowi szybkość $20\frac{1}{2}$ węzłów na godzinę, uzbrojenie zaś jego składa się z 4 dział o kalibrze 30·5 cm, 8 dział 24-centymetrowych, 20 dział 10-centymetrowych itd. Cztery dynamomaszyny wytwarzają na nim potrzebną energię elektryczną dla obsługi dział największego kalibru, wind i oświetlenia. Pojemność „Radetzky'ego“ równa się 14.457 ton, a załoga jego składa z 816 ludzi, co odpowiada mniej więcej dwom batalionom na stopie pokojowej.

„Radetzky“ zbudowany został przez tryesteńskie „Stabilimento technico“, a jego matką chrzestną była księżna Zofia Hohenberg, małżonka arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Jedna z naszych rycin przedstawia chwilę, gdy para arcyksiążęca udaje się w towarzystwie komendanta marynarki, admirała hr. Montecuccoli'ego do warsztatów „Stabilimento technico“, druga zaś sam pancernik, gdy zesunął się szczęśliwie z rusztowań na fale morskie.



Zacięta walka o mandat: Aleksander hr. Skarbek.

Najwyższy dom na świecie.

Na załączonej rycinie oglądamy najwyższy z amerykańskich „drapaczy obłoków“ — *skycrapers* — budowli, które powstają, jak grzyby po deszczu w Stanach Zjednoczonych, a szczególniej w Nowym Jorku. To najnowsze dzieło budownictwa amerykańskiego mierzy, nie mniej nie więcej, jak 213 metrów wysokości. Zdawałoby się, że to powinno wystarczyć. Tymczasem Amerykanie, skłonni do ekstrawagancyj i lubiący pobijać swoje własne rekordy, zamierzają wznieść w najbliższym czasie w Nowym Jorku budynek wysoki na 304 metry.

„Drapacz obłoków“, przedstawiony na naszej ry-



Największy austryacko-węgierski statek wojenny: Arcyksiążę Franciszek Ferdynand z żoną swą, ks. Zofią Hohenberg, z admirałem, hr. Montecuccoli, w drodze do warsztatów okrętowych.

cinie liczy 60 pięter. Z nich 51 jest zajętych przez biura rozmaitych przedsiębiorstw, najwyższych zaś 9 służy za lokale dla klubów i stowarzyszeń. Waga tego olbrzyma wraz z urządzeniem wewnętrznem wynosi kolosalną cyfrę 43.613.000 kilogramów.

Pojedyncze piętra połączone są przez 12 wind o rozmaitej szybkości ruchu. Najwolniejsze z nich będą kursowały z szybkością 135 metrów na minutę, najszybsze będą potrzebowały tylko jednej minuty, aby przetransportować lokatora lub gościa z parteru na najwyższe piętro.

W ten sposób rozwiązano trudności, nastręczające się co do komunikacyi w tej budowli olbrzymów, która w każdym razie pozostanie wymownem świadectwem tego, co technika naszych czasów dokonać jest w stanie.



Fot. M. Münz, Lwów.

Poświęcenie pomnika we Lwowie: Przemówienie ks. biskupa Bandurskiego.

Konkurs na zabawkę.

Ruchliwe, a dobrze już zasłużone, pomimo niedługiej egzystencyi Towarzystwo „Sztuka podhalańska“, ogłosiło konkurs na projekt zabawki o charakterze rodzimym, który został rozstrzygnięty przed kilku dniami w Zakopanem.

Ryciny, jakie podajemy w niniejszym numerze naszego pisma, dają dokładne wyobrażenie o tem, że wspomniane Towarzystwo miało szczęśliwą myśl, ogłaszając konkurs na zabawkę, która mogłaby skutecznie konkurować z wyrobami zagranicznymi, obcymi treścią dla naszych „milusińskich“. Taka np. „Wieś polska“ wedle projektu *(hors concours)* artysty-malarza p. Jana Skotnickiego, lub „Stragan“ artystki-malarki p. Skotnickiej (nagroda II-ga), albo też projekt pod godłem „Nadzieja“ (wzmianka pochwalna), dowodzą, jakie ładne i charakterystyczne zabawki powstać mogą u nas, jeżeli posłużą do ich wytwarzania motywy rodzime.

Tym razem nagrody pierwszej nie przyznano nikomu, lecz wolno się spodziewać, że przy następnym konkursie znajdzie się ktoś, co na nią zasłuży. Na konkurs nadesłano ogółem prac czternaście, nagrodzone zaś projekty zostaną wkrótce oddane do wykonania miejscowym zakopiańskim rzeźbiarzom. Nie wątpimy, że zabawki te znajdą szeroki zbyt we wszystkich sferach, którym zależy na popieraniu każdego objawu naszej polskiej sztuki stosowanej.



Królewska rodzina włoska: Królowa Helena z czworgiem dzieci. Od lewej ku prawej ks. Jolanda, ks. Humbert, ks. Joanna, ks. Mafalda.

Poświęcenie pomnika we Lwowie.

Na cmentarzu łyczakowskim we Lwowie wzniesiono w ubiegłym roku skromny pomnik na cześć uczestników ostatniej walki o niepodległość. Dopiero jednak w ostatnią niedzielę odbyło się uroczyste odsłonięcie i poświęcenie tego pomnika.



Zjazd Kółek rolniczych: Prezes Artur Zaremba-Cielecki.

Dzięki pięknej pogodzie, uroczystość wypadła wspaniale. Uczestniczyły w niej tłumy nieprzeliczonej publiczności, z Sokolstwem, młodzieżą, stowarzyszeniami i sztandarami na czele.

Poświęcenia dokonał ks. biskup Bandurski, który następnie przemówił w gorących, pełnych natchnienia słowach. Z kolei przemawiali prezes tow. uczestników powstania dr. Br. Dulęba i prezydent miasta Ciuchciński, poczem na zakończenie chór „Echa“ odśpiewał kilka pieśni.

Zacięta walka o mandat.

Wskutek śmierci b. prezesa Koła polskiego i ministra Galicyi ś. p. Wojciecha Dzieduszyckiego, opróżniony został mandat posła do rady państwa z okręgu miejskiego Sambor-Gródek. Do walki o ten mandat stanęło kilku kandydatów, z których najpoważniejsze szanse mieli: dr. Adam Doboszyński z polskiego stronnictwa demokratycznego i Aleksander hr. Skarbek, ze stronnictwa demokratyczno-narodowego. Wybory odbyły się w dniu 30 czerwca,



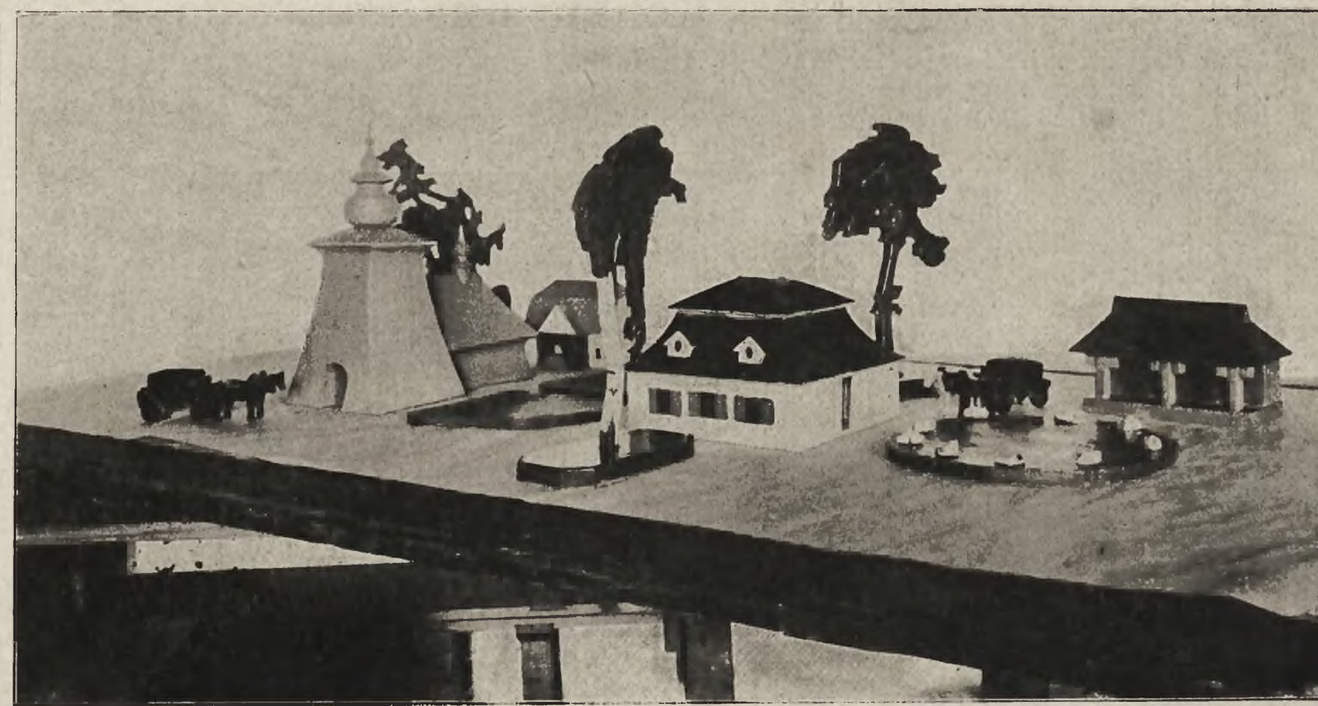
Konkurs na zabawkę: „Stragan“.

poprzedzone niesłychanie silną i namiętną agitacyą. Zarówno obaj kandydaci, jak i stronnictwa, do których należą, nie szczędzili ni trudów ni kosztów, by zjednać dla siebie jak największą ilość głosów.

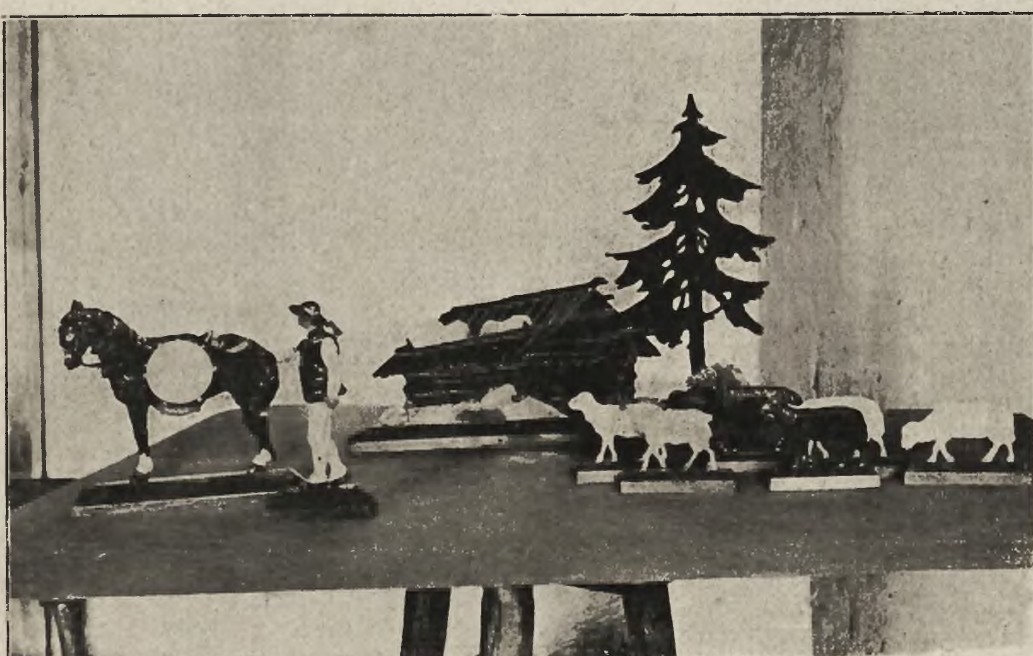
Usiłowania te jednak w rezultacie połowiczny tylko odniosły skutek. Przy wyborach nastąpiło bowiem rozbicie głosów tak wielkie, iż żaden z kandydatów nie zdobył absolutnej większości. Najwięcej głosów padło na dra Doboszyńskiego, a następnie na hr. Skarbka, oni dwaj też przeszli do ściślejszych wyborów.

Rezultat wyborów ściślejszych, które odbyły się we wtorek 6 b. m. nie mógł być wątpliwy, mimo pogłosek, że hr. Skarbek zrezygnował z dalszej walki, zobowiązując tylko kontrkandydata do złożenia na dar grunwaldzki 4000 kor. tj. mniej więcej kwoty, którą byłaby pochłonęła dalsza agitacya.

Nowy poseł hr. Aleksander Skarbek znany jest ogólnie zarówno we Lwowie, jak i w kraju. Dotychczasowa jego działalność w życiu publicznem każe się spodziewać jak najlepszych rezultatów przyszłej działalności poselskiej. Koło polskie zyskuje w nim siłę bardzo pracowitą i użyteczną.



Konkurs na zabawke: „Wieś polska“.



Konkurs na zabawkę: Projekt pod godłem „Nadzieja“.

Chroniczne przesilenie.

Dawno już w polityce nie było takiego rozgardyaszu, jak obecnie z powodu ciągnącego się od kilku miesięcy przesilenia węgierskiego. Gabinet dra Wekerlego, skazany od dawna na śmierć polityczną, wiedzie mimo to żywot suchotniczy, beznadziejny, boć nic od nieuchronnej zguby ocalić go nie może.

Główną — zdaje się — przyczyną, która przydłuża życie tego gabinetu, jest brak odpowiedniego następcy, następcy, któryby miał szanse rozwikłania fatalnej dzisiejszej sytuacyi na Węgrzech.

Nazwiska Fr. Kossutha, Juliusza Justha, L. Lukacsa, hr. Andrassy'ego — powtarzają się w prasie codziennie i każdego z nich można uważać za kandydata do fotelu prezydyalnego, ale rozstrzygnięcia jak nie było, tak nie ma.

Od czasu do czasu wybiera się któryś z nich do Wiednia, konferuje z najwybitniejszymi politykami Austryi, jest na audyencyi u cesarza, poczem powraca do Budapesztu i tam znowu konferuje z politykami węgierskimi.

I wówczas zaraz pojawia się wiadomość o nim, że w najbliższych dniach zostanie powołany na następcę Wekerlego. Ale tymczasem jedzie do Wiednia inny polityk, a wnet potem pisma tego drugiego mianują prezydentem, a o misyi poprzednie go donoszą, iż należy ją uważać za ukończoną.

Stan ten trwa już bardzo długo i niepodobna dziś przewidzieć ani kiedy, ani jak się skończy.



Chroniczne przesilenie: Minister handlu Franciszek Kossuth.



Chroniczne przesilenie: Prezydent Sejmu Juliusz Justh.



Chroniczne przesilenie: Dr. Aleksander Wekerle.

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze portrety tych wszystkich węgierskich polityków, o których się dziś pisze, może to przyśpieszy pomyślne rozwiązanie przesilenia.

Wedle ostatnich wiadomości, ostateczna decyzya zapaść ma aż w jesieni, na razie pozostanie u steru dotychczasowy gabinet Weckerlego.

Ten stan niepewności wywołuje wrzenie wśród wszystkich prawie stronnictw politycznych węgierskich. Zwłaszcza silnie wystąpił ferment w stronnictwie niezawisłości, z którego nawet już sporo członków wystąpiło, przechodząc do partyi hr. Tiszy.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

28 (Ciąg dalszy).

W tych szybko następujących wypadkach czuł jego rękę, choć nie mógł jasno zdać sobie sprawy, w jaki sposób markiz je wywołuje. Z myślami temi przemęczył się doktór Morane całą noc. Gdy rano weszła do pokoju Emilia i podniosła rolety, zawołała przestraszona:

— Ależ pan jest bardzo chory!

— To nic Emilio, trochę gorączki.

— Jakto trochę? Jest pan cały czerwony, jakby panu groziła apopleksya.

— Nie... co znowu — rzekł ciężko oddychając.

— Pan się zaziębił. Trzeba wziąć synapizmy.

I nie zwlekając, wyszła natychmiast, a po chwili wróciła z przyrządzonym plastrem, który położyła swemu panu na piersiach.

— Dziękuję Emilio, to nic, przekonasz się.

Spojrzała na stół.

— Jakto! To pan nic nie jadł, ani nie wypił. Nic dziwnego, że nie mógł pan się rozgrzać.

— Już mi lepiej, daleko lepiej — szeptał doktór, który przedewszystkiem bał s'ę gderania starej gospodyni.

W chwili tej wpadł siostrzeniec doktora, Piotre Matres, który po krótkich oględzinach postawił odrazu dyagnozę: zapalenie płuc.

— Mój drogi... idź naprzód do zamku — mówił słebym głosem doktór — pani Morailles...

— Niech wuj o niczem nie myśli, już dałem znać...

— Zastąpisz... mnie...

— O, pan markiz zajechał konno — odezwała się Emilia, spoglądając przez okno.

— Wuj nie może go przyjąć teraz — zadecydował siostrzeniec doktora.

— Nie, nie, niech wejdzie, chcę z nim mówić.

XXIV.

DOBRZY ODCHODZĄ.

Pan Morailles wszedł do pokoju. Na widok leżącego w łóżku doktora chciał się cofnąć.

— Nie wiedziałem... Doktór jest chory? Przepraszam...

— Nie, nie, niech pan zostanie... Słucham...

Markiz spojrzał mimowoli na Piotra i jakby szczery wzrok, otwarta twarz młodego lekarza żenowały go, odwrócił oczy w drugą stronę. Piotr zrozumiał to i ulegając słabemu znakowi swego wuja, wyszedł.

— Nie chciałbym pana fatygować — rzekł markiz z pewną niechęcią, przezwyciężając niepowodzenie—lecz zdrowie pani Morailles wymaga przedsięwzięcia natychmiastowego pewnych środków...

Zatrzymał się... czuł na sobie szlachetny, przenikliwy wzrok doktora. Po chwili zaczął dalej niepewnie:

— Doktór Saffroy, który przybył wczoraj z Paryża, by naradzić się z panem i który żałował bardzo, że pana nie zastał, przestraszył się bardzo halucynacyami żony.

— Tak, lecz on nie zajmował się stale chorą, jak ja, który znam markizę od lat dwudziestu — rzekł doktór Morane.

— Jego sława jako neurologa nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Morane zrobił ruch, że temu nie przeczy wcale.

— I co doktór Saffroy sądzi? — zapytał z lekką ironią.

— Chce to sam panu powiedzieć dzisiaj wieczorem. Uważa, iż stan żony wymaga zupełnego odosobnienia i specyalnego leczenia.

— Zawsze to samo myślałem i jeżeli pan pyta się o moją radę, powtarzam, niech pani Morailles wyjedzie w dłuższą podróż, przeniesie się do innego klimatu, gdzie wkrótce powróci do zdrowia. Choroba ta jest przejściowa,

— Doktór Saffroy, który specyalnie zajmuje się chorobami umysłowemi, twierdzi — pozwoli mi pan to powiedzieć — zupełnie co innego, mianowicie iż te halucynacye zdradzają długotrwałe zaburzenie zmysłów, iż zaczęło się ono już dawno, tylko obecnie dopiero przyjęło ono tak zastraszające rozmiary.

— Wzburzenie nerwowe pani Morailles nie wymaga wcale potrzeby umieszczenia jej w domu zdrowia.

— W takim razie — rzekł oschle markiz — pańskie zdanie jest zupełnie przeciwne temu, co mówi doktór Saffroy.

Morane patrzył mu prosto w twarz, chcąc odgadnąć zamysły, jakie knuje przeciw żonie.

— Moje sumienie lekarskie nakazuje mi zaprotestować stanowczo przeciw wszelkiej kuracyi, krępującej wolę pani Morailles. Gdy zazna zupełnego spokoju duchowego, powróci do zdrowia. Dlaczego pan się nie chce zgodzić, by markiza wyjechała razem z państwem Le Chars, którzy są tak do niej przywiązani?

— Doktór Saffroy...

Morane zawsze tak cierpliwy i łagodny, przerwał ostro:

— Dlaczego wobec tego zwraca się pan do mnie, kiedy pan zaufał komu innemu?

Pan Morailles odpowiedział z uśmiechem, starając się być miłym:

— Ależ, drogi doktorze, cóż znowu, przecież pan jest więcej dla nas niż lekarzem, uważamy pana za przyjaciela. Przypuszczałem, że pana dyagnoza potwierdzi zdanie Saffroy'a i właśnie do pana, jako starszego, zwracam się w mej boleści z prośbą o potwierdzenie dowodu koniecznego do internowania żony w zakładzie.

— Co? Do jej internowania? — oburzył się doktór. — I do mnie pan z tem przychodzi? Do mnie, mimo że ja jako człowiek i lekarz uważam to za zbrodnię! Do mnie! Niech pan idzie szukać innych wspólników swej niegodziwości.

— Pan się myli, pan mnie nie zrozumiał — mówił markiz, hamując swoją złość.

— O tyle pana zrozumiałem, iż przestaję być lekarzem pańskim. Noga moja nie stąpi już w zamku.

— Żałuję bardzo — rzekł markiz powstając do wyjścia.

— Nie jestem pańskim lekarzem, ale pozostaję człowiekiem, który pana sądzi... który...

Silny kaszel przerwał mu mowę, wstrząsając osłabionem ciałem.

— Jest to zbrodnia zamykać żonę i pan za to odpowie... Teraz proszę wyjść stąd!

Pan Morailles z wściekłością patrzył na tego starca, który z wyczerpania opadł na poduszki z zamkniętemi oczyma, jakby już na nich śmierć siadła. Obrócił się i wyszedł pocichu. Na schodach spotkał Piotra.

— Boję się, czy nie zbyt zmęczyłem pańskiego wuja; niech pan idzie prędko; zdaje mi się, że źle oddycha.

W chwilę potem Piotr cucił starca z omdlenia, w jakie wpadł wskutek zdenerwowania.

— Piotrze — rzekł urywanym głosem — nie chodź już do zamku... Nie pójdziemy tam... już nigdy...

Głos mu się załamał, z oczu popłynęły łzy na myśl, iż jest bezsilny i nie może przeszkodzić spełnieniu tak wstrętnej zbrodni. Lecz gdy wyleczy się, gdy odzyska siły, będzie walczył, by wydobyć nieszczęśliwą ofiarę z tego więzienia.

Próżną jednak miał nadzieję. Mimo wszelkich wysiłków Piotra, starzec zginął. Gdy Saffroy przybył do zamku, nie potrzebował już radzić się swego starszego kolegi. Doktór Morane już nic nie widział ani słyszał; dobę jeszcze walczył ze śmiercią.

Gdy Piotr zamknął oczy swemu wujowi, a Joanna złożyła przy zwłokach pęk kwiatów, los Aurory Morailles był już zdecydowany. Doktór Saffroy sam zredagował i podpisał odpowiednie świadectwo, na mocy którego markiz mógł umieścić żonę w domu waryatów.

Pani Le Chars od przybycia służby doktora Cruxa, była trzymana zupełnie na uboczu. Przyjęto jej pomoc przy przenoszeniu Aurory do innego apartamentu, położonego daleko od pokoi, jakie zajmowała Joanna, ale na tem też ograniczyła się uprzejmość, przysłanej przez Cruxa *nurse*.

Ta *nurse* zwana panią Rock, była wysoką kobietą o surowym wyrazie twarzy, z miną purytańską, o postawie grenadyera. Gdy po przeniesieniu Aurory Joanna znowu zjawiła się przed jej pokojem, spotkała się z nieugiętością pani Rock.

Rozkazy doktora Saffroy sprzeciwiają się temu, Zabronił na dzisiaj chorej wszelkich wizyt, nawet pana Andrzeja. Postanowienie to odnosi się również i do pana markiza, który się temu poddał.

Gdy Joanna [zadziwiona tem i obrażona domagała się wpuszczenia, infirmerka zawołała swego pomocnika, bladego mężczyznę, którego wypukłe czoło i wystający podbródek zdradzały wielki upór.

— Prawda, Iwonie, że rozkazy doktora Saffroy'a?...

— Są stanowcze — rzekł ostrym głosem pomocnik. — To jest zakaz.

— Doktór — raczyła dodać pani Bock — może jutro go zmieni. Dzisiaj cała odpowiedzialność leży na mnie i na Iwonie.

Ze łzami w oczach usunęła się Joanna do swego pokoju. Żal i obawa serce jej przeniknęły na myśl, co stanie się z jej przyjaciółką. Dlaczego jej nie chcą wpuścić. Widocznem było, że rozkaz ten stosuje się głównie do niej. Godność osobista nie pozwalała jej dłużej tu pozostawać. Doczeka się jeszcze wieczoru, by rozmówić się z Saffroy'em, potem przekona się, co jej należy czynić. W tem wszystkiem widziała rękę markiza, którego uważała za zdolnego do wszystkiego. Po obiedzie zwróciła się do niego, wyrażając mu, jak przykro zdziwił ją zakaz nie wpuszczania jej do pokoju chorej.

— Ten surowy rozkaz nie dotyczy tylko pani — odpowiedział. — Pomimo najserdeczniejszych uczuć, jakie pani żywi dla mej żony, nikt inny, tylko lekarze mogą teraz decydować o sposobie opieki nad Aurorą.

— Czy chce mi pan w ten sposób dać poznać, że moja obecność jest tutaj zbyteczna?

— Pozostaje pani gościem markizy i moim.

— Lecz jeżeli nie mogę czuwać nad Aurorą, jeżeli zabronione mi jest widzenie się z nią, nic nie usprawiedliwia mego tutaj pobytu.

Rozłożył ręce z giestem bezsilności.

— Proszę winić za to doktora Saffroy. On decyduje o kuracyi pani przyjaciółki.

Gdy przybył Saffroy, Joanna doczekała się końca jego wizyty i zadała mu to samo pytanie. Odpowiedział, trąc rękami i unikając jej wzroku:

— Muszę uwolnić chorą od wszystkiego, co jej przypomina dawne wzruszenia, Im prędzej o tem zapomni, tem też prędzej wyzdrowieje.

— A jeżeli będzie się o mnie pytała?... Niemożliwe, by nie chciała widzieć się ze mną...

Tym razem Saffroy popatrzył jej prosto w twarz, zdecydowany na zadanie stanowczego ciosu i uwolnienia się przez to od uciążliwych świadków.

— Istotnie, żądała tego, lecz na mój rozkaz odpowiedziano, że pani wyjechała, ponieważ pan Le Chars został zawezwany telegraficznie do Wenecyi.

— Jakto, pan śmiał?...

— Obowiązki lekarza bywają nieraz okrutne, lecz to im nakazuje ich sumienie. Pani Morailles potrzebuje najzupełniejszego spokoju; pani ją kocha, rozumie też mnie...

— Nie — odrzekła Jeanna podniecona — nie rozumiem pana. Widzę tylko, co mi pozostaje uczynić. Wyjeżdżam...

Saffroy skłonił się bez odpowiedzi.

W dwie godziny potem Joanna, Ludwika i Jacek opuścili zamek, udając się na dworzec kolejowy. W Paryżu razem z panią Seymour naradzi się, jak ratować nieszczęśliwą przyjaciółkę.

Jacek patrząc przez okno w hotelu, zaklaskał z radości na widok wychodzącej z samochodu pani Seymour i jeszcze jednej bladej małej osoby, w której rozpoznał swą towarzyszkę z Wenecyi, Gizelę de Pre-Hautre.

— Mamusiu! mamusiu! Pani Seymour i Gizela!

— Nie można jej już nazywać, moje dziecko, Gizelą, gdyż takie imię dała jej tylko matka, a teraz ona mieszka z swym ojcem i nosi już własne nazwisko Made, Magdalena Mitre.

— Ja już wiem o tem, mamusiu, tylko zapomniałem. Made jest i tak bardzo ładne imię.

Weszła pani Seymour i ucałowała serdecznie Joannę.

— Zabieram panią do siebie. Mamy wiele do pomówienia. Już pokoje dla pani są przygotowane.

— Ależ nie, zamieszanie...

— Jakież zamieszanie ma mi to sprawić? Będziemy przynajmniej razem przez cały czas, dokąd pani będzie tu pozostawała. List pani przestraszył mnie, musimy wiele rzeczy omówić.

Usunęły się na bok, by swobodniej, niesłuchane przez dzieci, zastanowić się nad wydarzeniami w zamku. Przez ten czas Made i Jacek w drugim kącie pokoju spoglądali na siebie z uśmiechem.

— Cieszę się bardzo, Made, że ciebie widzę. Czas wydał mi się taki długi.

— I mnie także...

— Jaką ty teraz masz poważną minę. I jesteś blada. Czyś nie była chorą?

— Nie, ale mój tatko jest bardzo chory. Mówią, że niedługo umrze.

Z pod powiek ukazały jej się łzy.

— O, nie, Made, nie umrze... Musi być bardzo szczęśliwy, że jesteś z nim.

— Tak... Ale moja babcia, przypominasz ją sobie, była na dworcu, gdyśmy przyjechali do Paryża.

— Tak, co?

— Zaniewidziała.

— Oh! wzruszył się Jacek.

— Pani Seymonr zaprowadziła ją do wielkiego, bardzo wielkiego doktora...

— Okulisty — dodał Jacek, dumny, że zna właściwe słowo. — I co powiedział?

— Powiedział, że już nie można leczyć, że to paraliż... A mój tatko taki chory. Słyszałem wczoraj, jak Gertruda, nasza służąca mówiła, że to cud, że jeszcze żyje.

— Czy ona jest dobra dla ciebie, Getruda?

— O, tak, jak Ludwika dla ciebie.

— Toś ty wyszła razem z panią Seymour?

— Pani Seymour, to jest dla mnie jak prawdziwa mama.

Przy słowach tych zarumieniła się, gdyż pomyślała o tej, której nigdy nie powinna wspominać, której nigdy nie powinna już widzieć, tej wesołej, ciągle śmiejącej się mamie, która takie cierpienie sprewiła jej taktowi, iż od tego umiera.

— Pani Seymour bierze mnie codziennie na spacer, gdyż niewidoma babcia, ani tatko, który ciągle leży w łóżku, nie mogą zajmować się mną.

— O tak, u nas także były różne historye. Opowiem ci je potem — dodał z powagą. Ale czyś ty o mnie myślała kiedy?

— Często Jacku.

— To dobrze, bo ja ciebie bardzo kocham.

— I ja także.

Głośniejsze słowa pani Seymour, przerwały ich zwierzenia.

— Ach, co za niegodziwość! I pani sądzi istotnie!...

Postępowanie markiza przejęło ją wielkiem oburzeniem. Spojrzała na dzieci.

— Ubierajcie się, idziemy na śniadanie. Pani sprawi mi wielką radość, przyjmując gościnę u mnie.

Zeszły. Pani Le Chars zatrzymała się w hotelu, by uregulować rachunek, poczem wsiadły do samochodu razem z dziećmi, Ludwika zajęła miejsce koło Doddy i w kilka minut potem byli już na avenue du Bois przed domem, w którym mieszkała dzielna Amerykanka.

Po śniadaniu pani Seymour zwróciła się do Joanny:

— Muszę teraz odwiedzić nieszczęśliwego pana Mitre i jego matkę.

— Jeżeli można, pragnęłabym pani towarzyszyć; mam wiele współczucia dla nich.

— Bardzo proszę, jedźmy razem.

— A Jacek.

— Pozostanie z Made; Ludwika i Doddy będą czuwały. Pani Mitre powierzyła mi wnuczkę, by uchronić ją przed widokiem agonii ojca, która wkrótce nastąpi. W czwartki i niedziele przychodzi do mnie siostrzenica Janina Forster, która kształci się w liceum Pascala i wtedy obie bawią razem.

— Co się dzieje z żoną pana Mitre? — zapytała Joanna już po drodze.

— Nic dobrego; jest jak owoc zewnątrz piękny, w środku zgniły. Będzie staczała się coraz niżej, aż wreszcie z utratą urody znajdzie się w kałuży.

— Jakże to smutne, zwłaszcza dla córki.

— Pan Mitre schwytał żonę na gorącym uczynku, by przez to uzyskać formalny rozwód i wyjednać dla siebie zastrzeżenie wszystkich praw do dziecka, tak aby matka nie mogła go oglądać nawet!...

— Istotnie, przykład zły, zgubne rady...

— Lecz to jest najgorsze, że nie doczeka się wyroku procesu rozwodowego.

— To straszne!

— Tak, los małej Made byłby smutny...

— Gdyby drogiej pani tu nie było — dodała Joanna, ściskając za rękę panią Seymour, która w swej dobroci wszystko była gotowa uczynić.

— Przywiązałam się do dziecka, które wkrótce pozostanie sierotą. Babka jej postanowiła zamieszkać w domu dla starców. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko adoptować Made.

— Lecz czy matka nie zachowa po śmierci ojca swych praw? Czy nie będzie ich domagała się?

— To jest największy kłopot. Byłaby to wstrętna rzecz, by sędziowie mieli się trzymać litery prawa. Już rozpoczęłam w tym względzie starania. Jutro mam zobaczyć się z prezydentem Trybunału cywilnego. Podobno jest on bardzo szlachetny.

— Może pani pod jego czarną togą znajdzie serce człowieka. Urzędnicy sądowi są przeważnie bezduszni, życiem dla nich jest kodeks.

Znalazły się przed mieszkaniem pana Mitre. Drzwi nie były zamknięte, na progu spotkała je Gertruda z potarganemi włosami, z podpuchniętemi od płaczu oczami.

— Och, proszę pani, już skończył nasz biedny pan...

Pani Seymour i Joanna wstrząsły się boleśnie.

— Rano to tak, jakby mu było lepiej, ale gdy o dziesiątej weszłam do jego pokoju, zobaczyłam, jak z wytrzeszczonemi oczami dusi się...

„Zdołał tylko powiedzić: Pa... Pani Sey... Tak, proszę pani, nie mógł skończyć pani nazwiska, otworzył tylko usta i opadł na poduszkę. Od tej chwili tylko charczał delikatnie, a w rękach zaciskał kołdrę; to już na znak śmierci. Już też i nie odzyskał przytomności i przed pół godziną umarł.

Doktór przyszedł i przyłożył lustro do ust, ale tylko powiedział: Już koniec.

„Ale dla czego ja panie tu zatrzymuję, niech panie wejdą. A starsza pani to nic nie mówi, nawet nie płacze, tylko jak słup stoi. To by nawet kamień rozczulił się, patrząc na to.



Trzydzieści sześć i jeden. Niema gorączki.

Pani Seymour i Joanna weszły do pokoju. Na łóżku leżały zwłoki pana Mitre; na wychudłej jego twarzy w dołach zapadniętych głęboko oczu, widniała jeszcze jakaś troska. Obok siedziała, ubrana na czarno, pani Mitre; nie zwróciła nawet głowy na szmer wchodzących. Obie panie ucałowały ją w milczeniu.

— Dziękuję... Ja nie widzę was, lecz poznaję... Mój biedny Edgard!...

I łzy, pierwsze może, które mogły z pociemniałych jej oczu popłynąć, potoczyły się po bladej, zmarszczonej twarzy.

XXV.

WYKRYCIE MACHINACYJ MARKIZA.

W półtora tygodnia po tych wypadkach, mistress Harden, siedząc przy łożu hrabiego Hartenberga, mierzyła mu temperaturę.

— Trzydzieści sześć i jeden... Niema gorączki — odezwała się.

Niespokojnym wzrokiem śledził ruchy tej, która razem z Maud stała się jego pielęgnarką w czasie choroby. Widząc jej wesołą minę, odetchnął swobodniej na myśl, że znowu powraca do zdrowia. Ocalił go silny organizm, nie wyniszczony jeszcze nadużyciami.

Przybladły, zmęczony, wodził oczami dokoła, przyglądając się pokojowi, w którym leżał. To nie było jego mieszkanie w hotelu Prior na ulicy Rivoli. Ile razy odzyskiwał przytomnosć dziwił się zawsze otoczeniu, jakie znajdował koło siebie.

— Gdzie Maud?

— Zaraz przyjdzie, jak się pan czuje?

— Lepiej, lecz jeszcze słabo mi.

Niech pan nic nie mówi... Czy chce pan pić? — zapytała mistress Harden czułym głosem.

Do tej pory zdołała uniknąć jego pytań. Jak można było wytłomaczyć choremu w gorączce, że dyrektor hotelu, obawiając się odpowiedzialności i strat materyalnych, jakichby doznał z powodu możliwej jego śmierci, zażądał zabrania rannego do kliniki chirurgicznej i że wtedy mistress Harden ośmieliła się przewieść go do własnego mieszkania. Był to śmiały zamach stanu na wspaniałomyślność hrabiego i udał się też jej w zupełności. Wymagało to pewności siebie i odwagi, ale tych zalet nigdy nie brakowało Czarnej księżniczce.

Pod pozorem kuzynostwa zabrała go do siebie, uregulowała rachunek w hotelu, zajęła się nim tak troskliwie, iż nie puszczała do chorego nikogo, nawet przyjaciół klubowych, motywując to rozkazem doktora.

Zawczasu dowiedziała się, że nie ma on bliskich krewnych, że dalsza jego rodzina mieszka daleko na Węgrzech, że mieszkał w Paryżu sam, nie związany z nikim. Roztoczyła nad nim niezwykłą czujność, otwierała wszystkie jego listy, przejrzała wszystkie dokumenty hrabiego, usunęła go kompletnie z pod wpływów zewnętrznych, korzystała z jego słabości, by narzucić mu swoją czułość, by poddać go swoim wpływom, aby następnie przez Maud dobrać się do jego milionów. Przedstawiało to pewne ryzyko, porzucała bowiem zupełnie markiza Morailles, nie będąc pewną, czy hrabia po wyzdrowieniu nie strząśnie z siebie sideł, jakie nań nastawiła. Jakieś jednak przeczucie, dyabelska znajomość charakteru ludzkiego, kierowała wszystkiemi czynami mistress Harden. Nie zatraciła nic z dawnej swej bystrości, przebiegłości, dzięki której potrafiła zawsze sidlić mężczyzn, wyssać z nich wszystko, by potem zrujnowanych porzucić, jak połamany wachlarz. Jeżeli nie miała już tej królewskiej piękności, jaką czarowała dawniej Czarna księżniczka, zachowała jednak wszystkie cechy swego niepokonalnego charakteru; do pomocy miała leszcze czarowną, pełną przewrotności Maud. We dwie omamiły hrabiego Hartenberga. Nic bardziej go nie wzruszało, jak gdy czując się słabszym, spostrzegał klęczącą przy łóżku Maud, całą we łzach. Umiała płakać na każde zawołanie. Kochał Maud, zwłaszcza że tak drogo zapłacił za nią, szukał jej spojrzenia a gdy oczy ich spotykały się, na ustach jawił mu się wdzięczny, dziecięcy uśmiech. Mistress Harden, czując w jego wielkiem ciele miękkie serce, owładnęła się i dopięła swego celu. Markiz Morailles był już dla niej wyjałowionem, bezpłodnem polem, hrabia Hartenberg tłustą, żyzną ziemią. Spojrzała na hrabiego rzewnym wzrokiem, odpowiadając na jego szept: Maud...

— Musiała wyjść, za pół godziny już wróci. Niech pan spoczywa spokojnie.

Opuściła pokój i przeszła do małego saloniku, gdzie Maud jeszcze w kapeluszu na głowie rozmawiała z Amelią Nivoret.

— Dzień dobry; co za dobry duch panią sprowadza?

Amelia do tej pory nie mogła spocząć, dopóki nie wyszukała nowego wielbiciela dla tej czarnej brunetki, którą lord wyrzucił przez okno.

— Ach, ta głupia Klara?... — rzekła wzgardliwie mistress Harden. — Przestała mnie interesować! Zbyt ordynarne ma gusta.

Zapomniała była Czarna księżniczka, mistress Colson, wspólniczka galernika Hawkinsa, że nieraz zdradzała słabość dla wędrujących cyganów i cyrkowych masztalerzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Chrzciny na dworze królewskim.

Królewska para hiszpańska, król Alfons i królowa Wiktorya, zawarli swój związek pod fatalnymi auspicyami. Potworny zamach, urządzony na nich w chwili, gdy wracali po ślubie z kościoła,



Chroniczne przesilenie: dr. L. Lukacs.

a którego to zamachu ofiarą padło tylu niewinnych ludzi, nie zdawał się nic dobrego zapowiadać na przyszłość. Tymczasem jednak stosunki ukształtowały się dla młodej pary wcale pomyślnie. Król i królowa cieszą się miłością swych poddanych i dobrem zdrowiem. Mają już troje dzieci, dwóch synów i córeczkę, której chrzest odbył się niedawno temu w zamku La Granja, letniej rezydencyi królewskiego dworu.

Ojcem chrzestnym tej najmłodszej latorośli hiszpańskich Burbonów był austryacki arcyksiążę Fryderyk, rodzony wuj króla Alfonsa XIII-go.

Jedna z rycin naszych przedstawia tegoż arcyksięcia, ubranego w mundur pułkownika strzelców hiszpańskich, w towarzystwie siostrzeńca, który ma na sobie węgierski mundur generała kawaleryi. Na drugiej zaś rycinie oglądamy całą rodzinę królewską, wraz z arcyksięciem Fryderykiem, zebraną na tarasie zamkowym w La Granja. Malutki chłopaczek, którego za ręce trzymają dwie babki, t. j. królowa matka Krystyna i ks. Battenbergska, jest to ks.] Asturyi, następca tronu, dziedzic niegdyś tak sławnej i potężnej korony hiszpańskiej.



Chrzciny na dworze królewskim: Królewska rodzina hiszpańska przed pałacem La Granja.

Wiec egzekutorów podatkowych.

Egzekutorzy w Galicyi mają swe własne stowarzyszenie, dążące do poprawy ich losu, moralnego podniesienia stanu, jakoteż zaopatrzenia wdów i sierót. Stowarzyszenie to nosi nazwę „Samopomocy“. W ubiegłą niedzielę odbyło się walne zgromadzenie członków „Samopomocy“ we Lwowie, a następnie wiec, zwołany staraniem tego towarzystwa w sprawie ustalenia stosunków służbowych egzekutorów podatkowych.

Wiadomo mianowicie, że ludzie ci nie są stałymi, „dekretowymi“ funkcyonaryuszami państwa, lecz zakontraktowanymi na pewien czas. Zadania ich są nietylko niesympatyczne i niepopularne, ale wskutek przeciążenia ogromnie nużące. Wynagrodzenie jest zaś bardzo liche, a zaopatrzenie żadne. Wobec tego egzekutorzy domagają się stabilizacyi i odpowiedniego dotowania ich usług oraz określenia lat służby na 30. Wiec ostatni egzekutorów podatkowych uchwalił szereg rezolucyi w tym duchu.

III. wiceprezydent Lwowa.

Wybór wielkiej doniosłości politycznej został dokonany w ubiegłym tygodniu w stolicy kraju. Na podstawie zmienionego statutu miasta Lwowa, rada miejska powołała na nowo kreowane stanowisko III. wiceprezydenta miasta, dra Tobiasza Aschkenazego, jako reprezentanta ludności żydowskiej.

Wybór pod każdym względem bardzo trafny i szczęśliwy. Dr. Aschkenaze jest człowiekiem w pełni sił, o wielkiej energii i impulsywnym temperamencie, wysoko wykształconym, doskonałym prawnikiem i mowcą, zna też dobrze sprawy gospodarki miejskiej. Demokrata szczery i głęboko wierzący w zwycięstwo idei demokratycznej, należy w radzie miasta Lwowa do klubu reformy, walczącego usilnie z wpływami „Strzelnicy“. Przyznaje się otwarcie i głośno do polskości a ze względu na dar świetnej wymowy znajduje posłuch nawet wśród separatystów żydowskich.

Te wszystkie zalety dra Aschkenazego zadecydowały o jego wyborze. Kontrkandydat p. Józef Neuman, człowiek niewątpliwie wielce około miasta zasłużony, pozostał w mniejszości, rada miejska bowiem uważała za konieczne dać w prezydyum miejsce reprezentantowi ludności żydowskiej, a nadto



Fot. M. Münz, Lwów.

Wiec egzekutorów podatkowych: Uczestnicy wiecu z przewodniczącym p. Zadurowiczem (X).

chodziło o złamanie wpływów „Strzelnicy“, której p. Neuman jest bardzo wybitnym członkiem.

A że się to udało, jest faktem bardzo znamiennym, mogącym stanowić o przyszłych losach miasta. Wybór ten bowiem wykazał, że wpływy przemożnej do niedawna Strzelnicy można przezwyciężyć i że to stronnictwo dziś niema już większości w radzie miejskiej.



Chrzciny na dworze królewskim: Król Alfons hiszpański i arcyksiążę Fryderyk (w mundurze hiszpańskim).

Gimnazyum im. Słowackiego w Czortkowie.

We wschodniej części naszego kraju istnieje wielki brak zakładów szkolnych, a zwłaszcza szkół średnich. Ażeby brakowi temu choć w części zaporadzić, zmuszone jest społeczeństwo uciekać się do własnej inicyatywy i tworzyć prywatne zakłady szkolne. Taki zakład powstał w r. 1907 w Czortkowie, który jest wyjątkowo po macoszemu traktowany przez rząd w sprawach szkolnictwa średniego. A powinno być przeciwnie, zwłaszcza że Czortków jest miastem ludnem, ruchliwem i mającem znaczny zastęp inteligencyi.

W r. 1907 zawiązało się w Czortkowie Towarzystwo Szkoły średniej, które wzięło sobie za zadanie założenie i prowadzenie prywatnego gimnazyum, oraz staranie się o jego upaństwowienie. Założone przez to towarzystwo gimnazyum ma obecnie dwie klasy i rozwija się pomyślnie, a we wrześniu 1909 r. będą już otwarte trzy klasy tegoż gimnazyum.

Z ramienia Rady szkolnej krajowej przeprowadził w roku ubiegłym lustracyę prywatnego gimnazyum czortkowskiego inspe tor szkolny p. Majchrowicz, a Rada szkolna krajowa przyrzekła wystarać się dla zakładu o prawa publiczności.

Sprawami gimnazyum zajmuje się zarząd pod przewodnictwem prezesa dra Ludwika Grzybowskiego. Niedawno zapadła uchwała, na podstawie której gimnazyum otrzymało imię Juliusza Słowackiego. Całe społeczeństwo nasze powinno bardzo gorąco poprzeć tę ważną placówkę naszą na dalekich i zagrożonych kresach.

Katastrofa kolejowa we Lwowie.

Lista wypadków kolejowych w Galicyi powiększyła się znowu w ubiegłym tygodniu. Tym razem widownią katastrofy był dworzec kolejowy „Podzamcze“ we Lwowie przy ulicy Żółkiewskiej.

Na dworcu tym stał właśnie pociąg, zdążający od Lwowa ku Podwołoczyskom i za chwilę miał stacyę opuścić. Nagle najechała nań w pełnym biegu lokomotywa i uderzyła z ogromną siłą w ostatnie wagony pociągu. Na szczęście ostatnie dwa wagony były pakunkowymi, dzięki czemu podróżni ulegli mniej ciężkim uszkodzeniom wskutek gwałtownego wstrząśnienia. Gdyby lokomotywa byłą ugodziła w wagon osobowy, katastrofa przybrałaby rozmiary straszliwe, gdyż pierwszy wagon wskutek silnego uderzenia został formalnie zdruzgotany, tak że tylko odłamki żelaza i drzazgi pozostały z niego.

I tak przeszło 50 osób zgłosiło się jako chorzy wskutek wypadku, to też zarząd kolejowy będzie musiał drogo opłacić ten ostatni wypadek. Ciężej rannych jest kilka osób. Opatrzyło je bądź pogotowie ratunkowe, bądź lekarze kolejowi, którzy zjawili się w chwilę po katastrofie na miejscu.



III. wiceprezydent Lwowa: dr. Tobiasz Aschkenaze.

Wypadek zaszedł w porze południowej, to też zabrano się niezwłocznie do uprzątnięcia toru celem umożliwienia normalnego ruchu.

Zdjęcie nasze przedstawia tor kolejowy na Podzamczu w parę godzin po katastrofie. Na uboczu widać resztki zdruzgotanego wagonu pakunkowego.

Ciekawa sprawa.

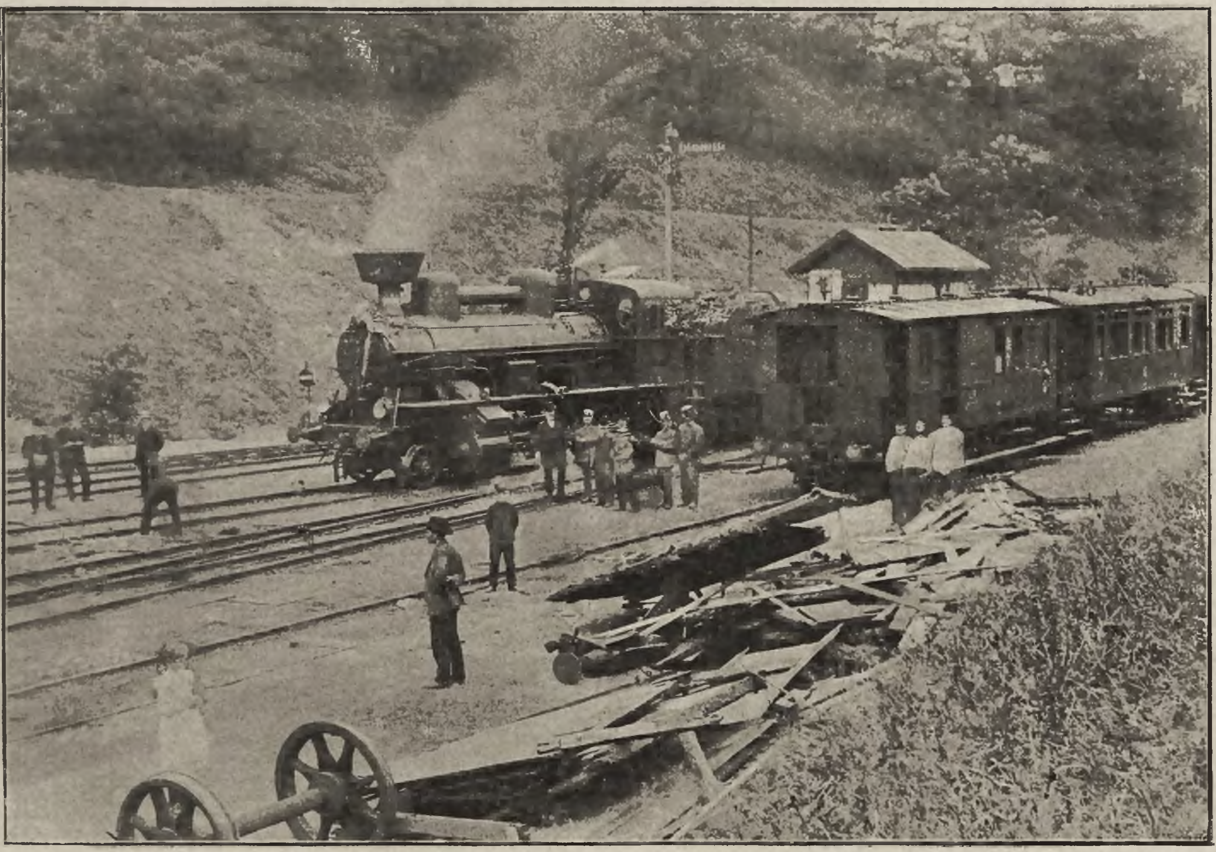
Przed kratkami trybunału cywilnego w Warszawie rozegrał się kilka dni temu pierwszy akt sporu o własność *Przeglądu porannego,* budzącego



Gimnazyum im. Słowackiego w Czortkowie: Wydział towarzystwa szkoły średniej, wraz z gronem nauczycielskiem i uczniami.

z natury rzeczy olbrzymie zainteresowanie w tamtejszych sferach dziennikarskich.

Sprawa ta przedstawia się w sposób następu-



Fot. M. Münz, Lwów.

Katastrofa kolejowa we Lwowie: Resztki zniszczonego wagonu, oraz lokomotywa, która katastrofę spowodowała na dworcu Podzamcze.

jący: ś. p. Feliks Fryze i ś. p. Feliks Burzyński na mocy umowy rejentalnej byli współwłaścicielami *Kuryera porannego,* który podczas t. zw. ruchu wolnościowego zmuszony był zamienić się na *Przegląd poranny.* Po śmierci ś. p. Feliksa Fryzego w jego prawa własności co do wydawnictwa rze-



Ciekawa sprawa: Ludwik Fryze.

czonego pisma i związanej z niem drukarni wstąpił p. Ludwik Fryze. Ś. p. Burzyński zaś odstąpił swoją połowę własności p. Janowi Czempińskiemu. Jakiś czas ta nowa spółka funkcyonowała normalnie, ale w roku bieżącym p. Ludwik Fryze postarał się o usunięcie p. Czempińskiego z wydawnictwa, nie wypłacił mu jednak zastrzeżonej na wypadek rozwiązania spółki kwoty 20.000 rubli. Na domagania się p. Czempińskiego odpowiedział p. Ludwik Fryze, że niema żadnych zobowiązań wobec niego, bo *Przegląd poranny,* a były *Kuryer poranny* — to dwa całkiem odmienne dzienniki, nie mające ze sobą nic wspólnego.

Ten sposób wyjaśnienia sprawy, oparty na tem, że p. Marceli Magnuski otrzymał koncesyę imienną na wydawnictwo *Przeglądu porannego,* nie zadowolił p. Czempińskiego, który udał się na drogę sądową. Trybunał pierwszej instancyi uznał słuszność zarzutów p. Czempińskiego, wychodząc z założenia, że dzisiejszy *Przegląd poranny* w istocie rzeczy jest identyczny — z wyjątkiem tytułu — z dawniejszym *Kuryerem porannym.* Skutkiem tego zaś nałożony został sekwestr sądowy na wydawnictwo *Przeglądu porannego,* dopóki sądy w tej ciekawej sprawie nie wydadzą ostatecznego rozstrzygnięcia, mogącego mieć zasadnicze znaczenie. Sekwestratorem mianowany został adwokat przysięgły Lipszyc.

Czescy artyści w Krakowie.

Przyjechali do nas w ubiegłą niedzielę goście, przywitani przez naszych artystów, których reprezentowało „Zero“, z całą serdecznością, na jaką umiemy się zdobyć, gdy witamy sympatycznych pobratymców. Gośćmi tymi są: prezes i sekretarz „Morawskiego związku artystów“, znakomici malarze Józef Uprka i Kafka. Do nich przyłączyli się: pp. redaktor Hovorka, znany a tymi czasy rzadki prawdziwy przyjaciel Polaków, Bohumir Jaroniek, artysta-malarz, Frolka, artysta-malarz, Franciszek Uprka, artysta-rzeźbiarz, prof. Taborsky, ks. dr. Kolisek, architekt Błażek i Czehak.

Przyjazd ich do grodu podwawelskiego był w pierwszym rzędzie spowodowany udziałem, jaki wzięli polscy artyści w wystawie w Hodoninie. Rzecz tedy prosta, że pierwsze swe kroki skierowali na prześliczną wystawę „Zera“, poczem prezes tego związku, Wojciech Kossak, podejmował ich śniadaniem w dawnym Resursie krakowskim.

Podczas tego śniadania wygłoszono kilka przemówień, z których rzeczowo najdonioślejszem było przemówienie prezesa Kossaka. Oświadczył on bowiem zebranym, że Henryk Sienkiewicz poruszył myśl stworzenia „Związku artystów słowiańskich“, którzy w przyszłym roku powinniby przyczynić się do zaaranżowania „grunwaldzkiej“ wystawy jubileuszowej. Myśl ta naszym pobratymcom przypadła



Walka w monastyrze: Czerńcy walczący skutecznie przeciw bandytom.

wielce do smaku, tak że po przemówieniu redaktora Hovorki, postanowiono ją w czyn zamienić.

Wiceprezes „Zera“, Włodzimierz Tetmajer, zaprosił następnie zgromadzonych do swej uroczej siedziby w Bronowicach małych, aby tam omówić bliżej projekt Sienkiewicza. Przed odjazdem do Bro-



Ciekawa sprawa: Jan Czempiński, b. sekretarz *Kuryera Porannego*.

nowic, goście czescy odwiedzili pracownię Kossaka. Oprócz wielu innych dzieł znakomitych, zwróciły tam szczególną ich uwagę, będące na ukończeniu obrazy, które są przeznaczone do reprodukcyi, jako premie dla jednego z warszawskich pism polskich, a które przedstawiają w sposób dramatyczny stosunek krzyżactwa względem Polski, począwszy od XIV-go a skończywszy na XIX-em stuleciu.

Wyjechawszy za rogatki Krakowa, goście czescy zachwycali się jego okolicami, które przy wspaniałej lipcowej pogodzie przedstawiły się ich oczom w całej piękności. W domu państwa Tetmajerów czekało ich staropolskie gościnne przyjęcie. Tam też ze swymi polskimi kolegami zawarli formalną umowę, co do projektowanego przez Sienkiewicza „Związku“, którego pierwszym czynem będzie wspaniała niezawodnie wystawa „grunwaldzka“ w roku przyszłym. Po niej zaś nastąpią inne — w Pradze, Lublanie itd.

Doniosły ten fakt zrzeszenia się artystów naszych z pobratymcami, odbić się musi bardzo korzystnie na ogólno-kulturalnych stosunkach Słowiańszczyzny.

Rycina nasza przedstawia zebranych na śniadaniu Czechów i Polaków. Każdego Czytelnika zainteresuje niezawodnie postać w stroju ludowym. Jest nią uczeń Uprki, bardzo tęgi malarz Frolka, który wyszedł z ludu morawskiego i jego stroju nie zarzucił.

Włoska rodzina królewska.

W uroczo położonej letniej rezydencyi Racconigi, wiedzie włoska para królewska spokojne życie, jakiegoby nie powstydził się pierwszy lepszy śmiertelnik, nie marzący nawet we śnie o królewskiej koronie. Królowa Helena, osoba nader sympatyczna i obdarzona wielkiemi zaletami serca i umysłu, jest wzorem małżonki i matki; słodyczą i taktownem postępowaniem, a przedewszystkiem nadzwyczajną uprzejmością, potrafiła też wstępnym bojem zdobyć sobie sympatyę całego otoczenia. Gdy przed laty czternastu rozeszła się wieść, iż następca tronu pragnie poślubić czarnogórską księżniczkę Helenę, zaczęto poważnie kiwać głowami, sądząc, iż nie dorosła ona do takiego zaszczytu, aby kiedyś objąć tron po ogólnie szanowanej królowej Małgorzacie. Zawiedziono się jednak w przypuszczeniach, młoda królowa nie ustępuje w niczem swej poprzedniczce, a nawet cieszy się daleko większą w kraju, niż ona popularnością. Nie braknie jej nigdy i nigdzie, gdzie chodzi o wydatną pomoc dla dotkniętych wypadkiem, lub otarcie łez nieszczęśliwym, jak to mieliśmy sposobność stwierdzić po strasznej katastrofie żywiołowej, która nawiedziła południowe Włochy i Sycylię. Na męża ma ogromny wpływ, którego używa też w najszlachetniejszy sposób dla dobra poddanych, uważających ją słusznie za opiekunkę i orędowniczkę u stóp tronu królewskiego.

Czworo nader sympatycznych dzieci jest owocem małżeństwa. Najstarsza Jolanda liczy lat ośm, Mafalda sześć i pół, następca tronu Humbert niespełna pięć, najmłodsza Joanna (Giovanna) zaledwie dwadzieścia miesięcy. Wychowaniem młodego pokolenia zajmuje się osobiście królowa, dzielnie dopomaga jej w tem królewski małżonek, który poza zajęciami panującego znajduje, dość czasu na sprawy domowe, które go mocno interesują. Przyznać trzeba, iż w tym względzie ustępuje on w zupełności pierwszeństwa żonie, a wtajemniczeni opowiadają sobie na ucho, iż jest w domu wzorem pra-



Ciekawa sprawa: Marceli Magnuski.

wdziwego... pantofla, w najpiękniejszem jednak tego słowa znaczeniu.

Fotografia, którą w niniejszym numerze podajemy, była niespodzianką dla króla w dniu urodzin najstarszej córki Jolandy (1 czerwca). Jest ona pierwszą, na której znajduje się sama królowa wraz z czworgiem dzieci.

Walka w monastyrze.

Przed niedawnym czasem w mieście Ługańsku, gubernii Ekaterynosławskiej w południowej Rosyi, wydarzył się napad bandycki, przechodzący swą zuchwałością tyle innych napadów, o których ciągle donoszą dzienniki. Pewnej nocy napadło na jeden z tamtejszych monastyrów szajka zbójów doskonale uzbrojonych, zwabiona bogactwem samego monastyru i kilku do niego należących cerkwi, i przypuściła formalny atak wojenny. Niespodziewanie, napotkali oni dobrze zorganizowany opór. Czerńcy bowiem także uzbrojeni, odpowiedzieli salwami na salwy i odparli z wielkiemi stratami zbójów. Stracili wprawdzie w tej „bitwie w czasie pokoju“ czterech ze swoich ludzi, ale teraz zapewne oddechce się nawet najzuchwalszym ekspropryatorom napadać ten monastyr.



Czescy artyści w Krakowie: Goście czescy, komitet „Zera“ i dziennikarze krakowscy. 1. B. Jaroniek, 2. red. Hovorka, 3. W. Tetmajer, 4. J. Uprka. 5. W. Kossak, 6. ks. prof. dr. Kolisek, 7. Frolka, 8. J. Kafka, 9. J. Tropka, 10. prof. Taborsky, 11. L. Kowalski, 12. W. Prokesz, 13. Czechak, 14. architekt Blażek, 15. F. Uprka.

G. DE TE'RAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

5 (Ciąg dalszy).

Nie wątpił o powodzeniu. Schodząc też ze schodów, mruczał wesoło na cześć swej ojczyzny: „hip! hip! hurra!“ Prefekt policyi nie mylił się. Baronowa należała do służby szpiegowskiej obcego mocarstwa. Służyła za pośredniczkę w haniebnych targach, które, jak wszelkie zbrodnie, dokonywają się w cieniu. Wiedząc, że jest śledzona, a wskutek tego nie mogąc u siebie przechowywać dowodów kompromitujących z obawy rewizyi, zdobyła sobie pomoc Korpfstraussa, który przed kilkunastu laty był tajemnym bankierem międzynarodowej bandy. Powierzyła mu plany wojennych balonów, które zdołała zdobyć dla ościennego państwa. Złożyła je w zapieczętowanych kopertach i związane sznurkami w głębi kasy ogniotrwałej bankiera, sama zaś czekała na uregulowanie sprawy pieniężnej z attaché ambasady niemieckiej. Zabójstwo bankiera Korpfstraussa napełniło ją obawą. Znając sposób otwarcia kasy ogniotrwałej, mogła pod pozorem wizyty kondolencyjnej przyjść i zabrać swoją paczkę, lecz czy policya w poszukiwaniach swych nie natrafiła już na nią? W takich warunkach nie mogła nawet myśleć o przybyciu do mieszkania zmarłego bankiera, gdzie bez wiedzy wdowy zastawiono wszelkiego rodzaju pułapki na jego wspólników. Musiała więc wiedzieć, lecz nie z dzienników tylko, które powtarzają to, co im powiedzą, o postępie śledztwa sądowego i przekonać się, jak blisko jest związana sama z tem zabójstwem. Dlatego też zwróciła się do Newtona. Na drugi dzień rano, podając się za młodego Niemca z Hamburga, przybyłego do Paryża w poszukiwaniu za miejscem tłomacza, detektyw wynajął pokój w sąsiedztwie Lapipa, w domu na placu Malesherbes.

Skoro tylko agent francuski wychodził od siebie, Newton zakradał się zaraz do jego pokoju, badał skrupulatnie zawartość kieszeni ubrań i szuflad, dowiadując się w ten sposób o raportach Lapipa do dyrekcyi policyi. Wszystko działo się więc jak najlepiej, gdy pewnego wieczoru Lapipe zauważył, że zamek w drzwiach, choć bardzo lekko, jednak zacina się. Natychmiast zrodziło się w nim podejrzenie, że ktoś otwierał go złodziejskiem narzędziem. Według starego sposobu przeciągnął on w pokoju czarną nitkę w ten sposób, iż każdy, kto wejdzie do środka, będzie musiał ją zerwać. Nie długo czekał na upewnienie się, że podczas gdy on w przebraniu starego urzędnika prowadził najspokojniej swe badania, ktoś inny poznał go i śledzi jego kroki. Należało przekonać się, kto to taki. Pewnego dnia, gdy wyszedł z domu o godzinie trzeciej, Newton, który oczekiwał z daleka na jego wyjście, powrócił pospiesznie do domu.

Wiedząc, że ma dosyć czasu przed sobą, po przejrzeniu pokoju swego kolegi, skierował się do pokoju niezamieszkałego, do którego, jak widział, Lapipe wślizgiwał się nieraz tajemniczo. Intrygowało go to bardzo; dorobił też sobie klucz według odcisku zamku, zdjętego na kawałku chleba i oczekiwał tylko na sposobną chwilę, by z niego skorzystać. Gdy wszedł teraz i bystro przeglądał wszystko, dziwiąc się tylko, iż nic nie znajduje, popchnął lekko stolik, który pod jedną nogą miał podłożony kawałek papieru dla utrzymania równowagi. Zamierzał właśnie posunąć go na dawne miejsce, gdy naraz otworzyły się drzwi.

Lapipe w towarzystwie dwóch policyantów rzucił się na niego. Zaledwie zdążył wsunąć machinalnie podkładkę z pod stołu do kieszeni, gdy już zarzucono mu na ręce kajdanki.

— Aha! — wołał tryumfująco Lapipe — złapał się wreszcie zabójca pana Korpfstraussa!...

Detektyw zaczął się śmiać i odpowiedział spokojnie, wzruszając ramionami:

— Bardzo łatwo mogę dowieść, że w dzień zbrodni byłem w Hamburgu.

— To dopiero zobaczymy — odpowiedział agent — teraz przeszukajcie go...

Newton zawsze zważał na to, by nie mieć przy sobie żadnego papieru, któryby mógł zdradzić jego incognito. Na bieliźnie nie nosił żadnych znaków, ubranie nawet jego nie miało firmy krawieckiej. Był też zawsze pewny, że w żadnym wypadku nie zostanie rozpoznany... W jednej jednak kieszeni marynarki policyant znalazł kawałek złożonego papieru. Podał go inspektorowi. Był to bilet imperyału Towarzystwa Omnibusowego, na którym było odbite: A. K., 27-4 — 190. — 256. Lapipe uczuł, że kolana mu drżą. Bilet ten przypomniał mu niezwykle ważny wypadek. A. K. oznaczało kurs omnibusu z dworca św. Łazarza do dworca Lyońskiego; 27 kwietnia 190. był to dzień, w którym pasażer z „Starego Czarnego Psa“ przybył do Paryża. Wyciągnął z kieszeni notes i zaczął w nim szukać. 256, był to numer omnibusu, którym jechał ten nieznany pasażer.

W jakiż sposób bilet ten znalazł się teraz w rękach złapanego indywiduum? Nagle uderzył się w czoło; odkrył ślad, który uważał za stracony na zawsze i to w chwili, gdy najmniej się tego spodziewał. Zwracając się do Newtona, którego trzymali policyanci, rzekł:

— Możebne, że pan nie jest zabójcą bankiera Korpfstraussa... lecz ja panu powiem, kim pan jest!...

Spojrzał mu prosto w oczy i mówił wolno:

— Pan jest mordercą z hotelu „Księcia Portugalskiego“...

Chociaż detektyw został zaskoczony tem oskarżeniem, mimoto twarz jego pozostała nieruchomo-obojętną, tak iż nikt nie mógł odgadnąć wrażenia, jakie słowa te na nim wywarły. Pierwszą jego myślą było, iż inspektor poznał w nim Anglika z ulicy Biot, nie było jednak czasu na rozmyślanie, dlaczego Lapipe puścił go wówczas zupełnie swobodnie, a teraz wprost zarzuca mu zbrodnię w pokoju nr. 10. Zrozumiał jednak odrazu, że obwiniony obecnie o podwójne morderstwo, pierwszy będzie wiedział o postępie śledztwa i najlepiej też będzie informowany o tych dwóch tak ważnych dla siebie sprawach.

Był to dla niego nader szczęśliwy wypadek, z którego też postanowił skorzystać w całej rozciągłości. Pozwolił zaprowadzić się do policyi, cieszący się, że będzie mógł wypróbować osobiście pomiarów antropometrycznych, które oddawna już chciał poznać.

W trzy dni potem został wezwany na badanie. Lecz w chwili, gdy mimo usilnych nalegań sędziego odmawiał podania swego nazwiska i oznajmił, iż obędzie się bez adwokata, do pokoju wszedł zadyszany Lapipe, jak gdyby poprzednio szybko biegł.

— Niech mi pan sędzia wybaczy, żem się spóźnił — rzekł — wzywano mnie do dyrekcyi policyi, gdzie mi pokazano depeszę z Ameryki, złodziej bankowy z Chicago został aresztowany... przyznał się zupełnie... nie jego więc zamordowano na ulicy Biot...

— Psiakrew! — zaklął ze złością Newton.

— Mimo to — mówił dalej Lapipe — jest zupełnie pewne, że indywidyum, które pan sędzia ma przed sobą, jest niepowszednim przestępcą, wiele dłużnym sprawiedliwości.

Opowiedział sędziemu wszystkie wypadki, jakie nastąpiły od chwili, gdy w biurze komisaryatu w Marsylii spotkał kapitana „Starego Czarnego Psa“.

Newton nie stracił ani jednego słowa z tego opowiadania. Nie wątpił wcale, że był to morderca pani Aesthon, który, przedsięwziąwszy tyle środków ostrożności, przybył do Francyi, zrozumiał też teraz, dlaczego Lapipe odurzony chloroformem nie mógł rozpoznać zamiany zwłok, co pozwoliło znowu poszukiwanemu zabójcy umknąć w chwili, gdy miał już być schwytany.

Roześmiał się więc wesoło.

— Będę zawsze wyrzucał sobie, że zajmuję cenny czas sędziego francuskiego... obydwaj panowie weszli na fałszywą drogę, przypisując mi tyle przestępstw... Jestem tylko detektywem Newton...

— Newton! — zawołał Lapipe, który znał nazwisko i sławę detektywa amerykańskiego.

— Tak, to ja. Dodam jeszcze to, że jeżeli zostałem aresztowany na placu Malesherbes, to dlatego, iż sam prowadziłem śledztwo z powodu zabójstwa tego biednego Korpfstraussa.

— Śledztwo, które jutro zostanie skończone z braku wszelkich danych — odpowiedział Lapipe na milczące zapytanie oczami sędziego. — Znaleziono tylko skrawek papieru z liczbami 785. Zbyt mała wskazówka, by mogła doprowadzić do sprawcy.

— Istotnie, potwierdził Newton... 785... nie wiele pokazuje...

— Według mego osobistego zdania — mówił dalej inspektor — chodzi tu o zbrodnię z podkładem romantycznym i wskazanem jest w interesie pozostałej rodziny, aby nie zagłębiać się zbytnio w tę sprawę. Panie Newton, czy i pan jest tego zdania?

— Najzupełniej.

Do siebie jednak dodał po cichu:

— Doskonale. Nic nie znaleziono. Sprawa umorzona. Baronowa może spać spokojnie.

Głośno zaś odezwał się:

— Myśmy już raz spotkali się, panie Lapipe!

— Gdzie?

— Ależ w hotelu na ulicy Biot, o którym pan przed chwilą mówił.

— Na ulicy Biot? — zdziwił się inspektor.

— Czy przypomina pan sobie tego nieznośnego Anglika, który dopominał się ciągle o swoje bagaże i który wszędzie się kręcił?

— Więc?

— To ja byłem tym Anglikiem.

— Pan?

— Tak i również jak i pan śledziłem tego samego osobnika od dworca Lyońskiego...

— Naznaczona była ładna nagroda, niestety! — westchnął inspektor, opuszczając żałośnie głowę.

— Już się stało — zawołał Newton — ale zdawało mi się, że aresztując mnie na placu Malesherbes, pan mnie poznał.

— Nie — odpowiedział Lapipe — skłoniło mnie do tego znalezienie przy panu biletu, nie dziwię się jednak teraz temu, ponieważ pan był w hotelu na ulicy Biot!

Gdy inspektor opowiadał, jak ten tajemniczy pasażer żądał od konduktora biletu na inny omnibus, w umyśle detektywa zjawiła się nowa jasna myśl. Ten kawałek papieru, podniesiony z pod nogi stołu w chwili jego aresztowania, wskazał mu niespodziewaną łączność faktów. Zabójca pani Aesthon, nieznajomego z hotelu „Księcia Portugalskiego“ i bankiera Korpfstraussa był jedną tylko osobą. Nie zdradził się jednak przed inspektorem ze swej myśli. Bandyta nowojorski żył ciągle i dopuszczał się coraz nowych przestępstw. Newton postanowił z większą jeszcze gorliwością śledzić go. Obydwaj detektywi wyszli razem z pokoju sędziego.

— Muszę teraz pana przeprosić, drogi kolego — rzekł zmieszany trochę Lapipe — za to aresztowanie.

— Ależ co znowu! Chodźmy lepiej na mały kieliszeczek — odpowiedział, śmiejąc się Newton i biorąc po przyjacielsku swego kolegę pod ramię.

Sam zaś pomyślał:

— Winienem mu to przecież na pocieszenie!

VI.

Szajka Asa Kierowego.

W Komedyi Francuskiej dawano tego wieczozu „Cyrulika Sewilskiego“. Przedstawienie było abonamentowe. Teatr był przepełniony wyborową publicznością. Cały wielki Paryż stawił się w komplecie. Ani jednego miejsca nie było wolnego. Jaśniejąc brylantami, baronowa Bristow, jak zwykle przybyła dopiero pod koniec pierwszego aktu, w loży jednak siedziała sama, co się nigdy prawie nie zdarzało. Była uśmiechnięta. Newton uspokoił ją. Sprawa o zabójstwo bankiera Korpfstraussa miała być umorzona bez badania zawartości kasy ogniotrwałej. Żółta koperta z planami spoczywała więc na swojem miejscu i nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać na uregulowanie rachunku z attaché. Mimo to podejrzliwość baronowej nie słabła, a ponieważ podejrzewała dokoła siebie gorliwsze śledzenie, zdwoiła też i swą roztropność.

Podczas gdy na scenie rozwijała się akcya sztuki, w słabo oświetlonym i opustoszałym zakątku galeryi Palais Royal, ukryło się dwóch ludzi i szeptem rozmawiali z sobą. Para ta stanowiła z sobą dziwny kontrast. Jeden z mężczyzn w cylindrze i futrze był ubrany elegancko i miał wyraz dystyngowany; w rękach w jasnych rękawiczkach, trzymał laskę ze srebrną, bogato cyzelowaną rączką; w butonierce fraka widniał kwiat. Drugi był niski i krępy. Mimo zimna stycczniowego, nie miał na sobie palta, tylko kołnierz od marynarki postawił wysoko aż po uszy, ręce zaś wtulił do samych łokci do kieszeni spodni. Na głowie miał połamany melon, zasunięty na tył, z ust zwieszał mu się papieros przylepiony do dolnej wargi; włosy zaczesane miał nisko na czole.

O pierwszym można było powiedzieć, że jest to typowy hochstapler, o drugim, że należy do bandy apaszów. Zaczęła się między nimi rozmowa:

— Masz knebel?

— W głębokiej prawej.

— Tampon z chloroformem?

— W lewej...

— Sznurki watowane?

— Dokoła pasa...

— Czarne sukno?

— Na sobie...

W chwili tej zjawił się koło nich jakiś przechodzień, zaraz też zamilkli, lecz gdy ich minął, rozmawiali dalej:

— Wielki Julek jest w sali.

— Chce dociągnąć do trzeciego...

— Wie gdzie?

— Mniej więcej...

Mężczyzna, do którego te wszystkie pytania były stosowane, wyjął z kieszeni mały srebrny zegarek

i podchodząc do słabo migocącej latarni, spojrzał na godzinę.

— Już dziesięć ołowianych! — zawołał. — Psiakrew, jak czas wyrywa... mały Mec uwinie się lekko...

Drugi pokiwał głową i mruknął, jakby mówił do siebie:

— Oby tylko udało mu się!... Stangret baronowej jest morowy... nie łatwo da się upić... zwłaszcza gdy ma jechać po swoją panią... i nie uda się wlać mu narkotyku do kieliszka... Zresztą mały Mec jest sprytny!

Potem, zwracając się do swego towarzysza, zapytał:

— Zizi Muszka jest razem z nim?

— Tak, mój księciu...

— Zna swoją rolę?

— Jeszcze się pytasz... odciąga uwagę... a gdy ten się zdrzemnie, pomoże małemu Mecowi oporządzić go...

Rozmawiając tak, obydwaj nieznajomi opuścili ciemny zakątek, w którym stali i skierowali się do ulicy Valois, ciągnącej się z boku Palais Royal.

— Wiesz, Karolek — szepnął mężczyzna w futrze — że dałbym piętnaście lat życia prezydenta Haiti, by być o kilka godzin starszym. Boję się, by w ostatniej chwili jaki nieprzewidziany wypadek nie zniweczył mego planu.

Drugi odpowiedział z zupełną pewnością siebie?

— Nie psuj sobie żółci, markizie, wszystko dobrze pójdzie...

Naraz rozmowę tę przerwał rozlegający się głośno w ciasnej ulicy tupot koński.

— To mały Mec! — zawołał tryumfująco Karolek.

Stangret jednak nie zatrzymał pojazdu, przejeżdżając koło dwóch mężczyzn. Zwolnił tylko biegu i lekko gwizdnął, co widocznie zostało zrozumiane, gdyż Karolek odpowiedział zaraz w ten sam sposób.

— Dobrze idzie! — szepnął.

— Czy wie, co ma robić? — zapytał go towarzysz. — Gdy zawołają stangreta Armanda z avenue Bosquet, zajedzie przed teatr jakby tamten, prawdziwy.

— Jeszcze się boisz?

— A czyś widział dobrze, że baronowa jak zwykle w czwartek wyjechała po obiedzie?

— Na własne oczy...

— Dobrze... nie opuściła przedstawienia... grają „Cyrulika Sewilskiego“... a ja lękałem się... widzisz, ja uwielbiam Beaumarchais... niema co i mówić, jest to jeden z zwiastunów rewolucyi...

— A ja znowu wolę smutne śpiewki miłosne... to rozczula człowieka do samego żołądka!...

— Ty nigdy, mój biedny Karolku, nie staniesz się dystyngowany!

— Wiem o tem, markizie; nie bywam jak ty w wysokich sferach.

— Eh!...

— Nie blaguj, kwiatku szlachecki!... Udało ci się znakomicie, z swoją fizys i cienką bielizną wszędzie mogłeś wejść!...

— Pracowałem, jak mogłem... widzisz jednak sam, że nie wiele zarobiłem, jeżeli teraz wieczorem muszę brać się do tak ryzykownych rzeczy... jeżeli nie uda mi się zagarnąć brylantów baronowej, jestem zgubiony!... Psi los!... Chodźmy, westchnął, nie czas teraz na gorzkie rozmyślania o życiu... Na ciebie teraz kolej... to jest najtrudniejsze, lecz ty jesteś i najsprytniejszy... idź na swoje miejsce... nie zapomniałeś, za małym Pałacem... Potem pędź do Menilmuche... idę spotkać się z wielkim Julkiem pod teatrem... powie mi, czy baronowa tam jest i czy ma na sobie brylanty... Do widzenia, mój stary...

— Do widzenia, markizie...

I obaj mężczyźni pożegnali się i rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Podczas, gdy te dwie niewyraźne postacie rozmawiały o pięknej Rosyance w sposób tak złowrogi dla niej, przez dziwny zbieg okoliczności dwóch innych mężczyzn nie spuszczało jej z oka w sali Komedyi Francuskiej. Byli to agenci Brisemiche i Touffe, którzy mieli polecone sobie zważać na najmniejsze jej ruchy i gesty. Ulokowani w pierwszym rzędzie na galeryi, mieli minę zwykłych mieszczan, słuchających z uwagą granej sztuki, na chwilę jednak nie odwracali spojrzenia od swej ofiary. Naraz Brisemiche wychylił się naprzód. Do loży baronowej wszedł attaché ambasady, kapitan Fraskopelly. Skłonił się z uszanowaniem przed nią, gdy mu podawała z uśmiechem rękę do pocałowania.

Agent widział dokładnie, jak attaché wojskowy wsunął dyskretnie do ręki baronowej bilecik, który ona zgrabnie, zasłaniając się wachlarzem, schowała za gors.

— Co to za papier?

— Może to zwykły liścik miłosny! — pomyślał agent.

Zrobił znak swemu koledze i w czasie antraktu wyszli na naradę do fumoiru.

Czy przy wyjściu poprosić baronową, by się udała z nimi na policyę, gdzie ją zrewidują i zaraz uwolnią z wielkiemi przeprosinami? Nie śmieli przyjąć odpowiedzialności za to na siebie. Jeżeli się mylą, dzienniki nazajutrz podniosą straszny hałas, a cała wina spadnie na nich.



Para ta stanowiła z sobą dziwny kontrast.

Gdy Brisemiche wrócił do sali, Touffe pobiegł do telefonu, by rozmówić się z samym prefektem.

— Takie aresztowanie — usłyszał w odpowiedzi — jest niemożliwe... może to jednak jest już dobry ślad... Śledzić baronowę, czy nie spotka się z attaché w jakiem miejscu, które należy znać.

Baronowa przez snobizm nigdy nie była na ostatnim akcie. Natychmiast więc po spuszczeniu kurtyny po trzecim akcie, podniosła się i opuściła swą lożę.

— Stangret Armand z avenue Bosquet! — rzekła portyerowi, by zawezwał jej pojazd.

W minutę potem kareta zajechała przed przedsionek teatru. Baronowa owinięta w swe wspaniałe futro, ani nie spojrzała na stangreta, lecz rzekła:

— Do domu, Armandzie!

Konie w tej chwili ruszyły z miejsca szybkim kłusem i pojazd potoczył się w stronę ulicy Rivoli.

Brisemiche i Touffe wyszli jednocześnie z baronową i gdy jeden z nich słuchał adresu, jaki dawała stangretowi, drugi pobiegł po dorożkę, by jechać w ślad za nią.

W chwili tej jednak przejeżdżał wolno samochód, którego szofer odezwał się do Touffa:

— Dobry samochód, czy można służyć?

Był to jeden z tych szoferów, którzy na własny rachunek wynajmują przechodniom samochód swego pana, gdy wiedzą, że ten nie będzie go potrzebował. Touffe odrazu domyślił się tego.

— Jazda! — rzekł — służba policyjna... w razie jakiej krętaniny w tej chwili pod klucz... będzie to dobra nauczka!...

Tymczasem kareta baronowej po minięciu placu Zgody jechała wzdłuż Sekwany i kierowała się na Cours-la-Reine. Nagle w jakimś ciemnym zakątku rozległ się świst i stangret natychmiast wstrzymał konie. Na rozkaz Brisemicha samochód, który jechał cicho o kilka metrów z tyłu, z zgaszonemi latarniami, również się zatrzymał. Wtedy mimo ciemności agenci dojrzeli wysuwającą się z cienia drzew postać jakiegoś mężczyzny, który otworzył drzwiczki karety. Równocześnie ciszę nocną przerwał krzyk kobiecy.

— W trop za nimi — rozkazał Brisemiche — a nie tracić ich z oczu — zwracając się zaś do Touffa, dodał — prefekt miał dobry nos... mamy ich teraz!...

Stangret baronowej zawrócił z początku na tę samą drogę, po której jechał.

Po minięciu jednak placy Zgody, szybko przebył bulwary i pomknął ku Bastylii, nie wiedząc wcale, że jest śledzony. Oba też te pojazdy, kareta i samochód dojechały bez przeszkody aż do ulicy Drouot. Tutaj jednak zaszedł wypadek, którego nie przewidzieli agenci.

Naraz za karetą wyłonił się policyant i kazał wstrzymać samochód.

— Proszę nas przepuścić! — zawołał Touffe.

— Policya! — nalegał Brisemiche.

Policyant nie raczył nawet odpowiedzieć. Znał się już na tych kawałach, nieraz mu je urządzano.

Brisemiche wyszedł z samochodu i zaczął tłomaczyć:

— Mój przyjacielu, śledzimy bardzo ważną osobę, a ty nam przeszkadzasz!... Przecież to bez sensu!

Policyant rzucił na nich okiem.

Ci ludzie, wyelegantowani jak do teatru i w takim wspaniałym samochodzie — szpicle? Wzruszył ramionami; nie da się na to wziąć...

Przytem szyderczy uśmiech szofera, który radował się z przygody swych pasażerów, utwierdził go w tem mniemaniu. Tymczasem kareta baronowej szybko oddalała się.

— Ależ do stu tysięcy dyabłów — klął zrozpaczony Brisemiche, szukając swej legitymacyi, by przekonać upartego policyanta — oni nam umkną! Ach! Zapłaci mi pan za swój głupi upór!...

Policyant jednak pozbył się wreszcie swej flegmatyczności i krzyżując z powagą ręce na piersiach, zawołał:

— Długo będzie jeszcze tego gadania?... Kiedy koniec?... Jeżeli będziecie w dalszym ciągu kręcili, zaprowadzę was za karę pieszo na policyę...

Przez ten czas mężczyzna jakiś, który oczekiwał, aż ulica będzie wolna, by przejść na drugą stronę, przypatrywał się tej scenie. Poznał zaraz Brisemicha i Touffa, mieszać się jednak do sprzeczki uznał za bezpożyteczne. Uparty policyant i jemu nie uwierzy, a tymczasem należało koniecznie śledzić znikającą w dali karetę. Pozostawiając tedy agentów kłócących się z policyantem, skierował się do werendy, znajdującej się przy kawiarni „Cardinal“, przy której stał rower. W mgnieniu oka odsunął go na bok, wskoczył na niego i pomknął za karetą. Przy bulwarze strasburskim dogonił go, czyli jak mówi się w żargonie cyklistoskim, „przylepił się“ do niego.

Tym nieznajomym, którego wypadek uczynił świadkiem kłopotu agentów, był inspektor Lapipe. Podczas tych zajść człowiek, który na Cours-la-Reine dostał się do wnętrza karety, pochylał się ciągle nad baronową, leżącą na siedzeniu z głową w tył odrzuconą i przykładał ucho do jej piersi, by zbadać, czy serce jeszcze bije.

— Obym tylko nie za dużo dał jej chloroformu! — szeptał do siebie. — A jeżeli ona wyciągnie się na mych rękach!... Byłby to podły interes!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Związek ukończonych mechaników politechniki we Lwowie.

Doświadczenie uczy, że ludzie każdego zawodu, biorąc się za ręce, są w możności wywalczenia sobie lepszych warunków bytu. Stara to prawda, ale jednak nie przez wszystkich dostatecznie znana, względnie stosowana w praktyce.

Młodzi ludzie jednak, którzy ukończyli w roku bieżącym wydział budowy maszyn na Politechnice lwowskiej, są widocznie przekonani o niej, skoro zawiązali między sobą na wniosek kolegi Bolesława Lutyka związek pod nazwą wymienioną w tytule niniejszego artykułu.

Celem nowozawiązanego Towarzystwa ma być wytworzenie zawodowego zrzeszenia i wspierania się wzajemnego ukończonych słuchaczy wydziału mechanicznego jedynej na ziemiach polskich akademickiej uczelni do zawodów technicznych. Zaznaczono przytem, co należy podnieść z całem uznaniem, że młodzi pionierzy polskiego przemysłu postanowili go wszelkiemi siłami popierać, skoro się znajdą za stanowiskach kierujących.

W roku przyszłym odbędzie się pierwszy zjazd członków tego sympatycznego towarzystwa, którego pierwszych założycieli, z panem Bolesławem Lutykiem na czele, przedstawia nasza rycina.

Po działalności naszych młodych mechaników spodziewamy się dla rozwoju również młodego przemysłu polskiego wiele.



Związek ukończonych mechaników politechniki we Lwowie: Założyciele Związku z p. B. Lutykiem pośrodku.

Zjazd Kółek rolniczych.

W murach naszego miasta odbył się w dniach 6 i 7 b. m. walny zjazd delegatów Kółek rolniczych. Doniosła praca kulturalna Kółek rolniczych, rozsianych po całym kraju, ocenioną została odpowiednio przez nasze społeczeństwo, które pragnęłoby, aby nie było jednej wsi w Galicy bez Kółka. Ze sprawozdania rocznego Zarządu Towarzystwa Kółek rolniczych należy zapamiętać dwie daty najważniejsze, a mianowicie, że w Galicyi istnieje półtora tysiąca tych Kółek, które liczą przeszło 52.000 członków. Zaznaczyć przy tem trzeba, że Kółka rolnicze stoją ponad stronnictwami, polityką nie zajmowały się nigdy, a dążą jedynie do podniesienia ekonomicznego stanu naszego włościaństwa, do wyrwania go ze szponów eksploatacyi żywiołów obcoplemiennych.

Narady Zjazdu odbywały się w gmachu krakowskiego Sokoła, a przewodniczył im zasłużony prezes, poseł Artur Zaremba-Cielecki. Znamiennym jest faktem przemówienie prezydenta miasta Krakowa, dra Juliusza Lea, wygłoszone przy powitaniu Zjazdu. Podniósł on bowiem, że u nas niema i być niemoże antagonizmu między wsią i miastem, bo zarówno włościaństwo, jak szlachta i mieszczanie polscy pracują dla wspólnego narodowego dobra.



Największy dom na świecie: Drapacz obłoków, świeżo wystawiony w Nowym Jorku.



Zjazd Kółek rolniczych: Grupa delegatów. Fot. E. Pierzchalski, Kraków.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Ani rusz doczekać się wakacyi. — Obstrukcya w Austryi. — Chroniczne przesilenie na Węgrzech. — Występ sufrażystek w Londynie. — Pani Pankhurst członkiem komitetu Słowackiego. — O reformie szkół żeńskich. — Drożyzna mieszkań i środków spożywczych. — Kuracya głodowa. — Kto wyjeżdża na wakacye i po co?).

Ani rusz nie możemy się doczekać rozpoczęcia wakacyi w całem tego słowa znaczeniu, gdyż parlament austryacki zapadł znowu na obstrukcyę, Węgrzy prowadzą pomimo gorąca politykę na wielką skalę, Turcy i Grecy zabierają się do wojny, a nawet Rada miejska w Krakowie przed rozpoczęciem wakacyjnych wywczasów zbiera się co kilka dni na posiedzenia. Odpada skutkiem tego dla dziennikarzy, wspominana już poprzednio, konieczność poszukiwania za wężami morskimi i innemi osobliwościami światowemi, choć tu i ówdzie pojawiają się już kanikularne wiadomości, że napomknę tylko o owym trzyletnim żarłoku i cudownym chirurgu drze Carrel z Nowego Jorku, który psom sztukował ogony i uszy, a także gotów jest pacyentom rodzaju ludzkiego przyprawiać ręce i nogi, bodaj czy nawet nie głowy, wymieniać nerki, wątroby i mózgi. Pan ów ze swoją specyalnością mógłby u nas liczyć na powodzenie, zwłaszcza co do owego ostatniego zabiegu chirurgicznego, tj. wymiany mózgów. Pacyentów z pomiędzy wszystkich stronnictw politycznych z pewnością mu nie braknie.

Dziwi mnie bardzo dolegliwość obstrukcyjna, na którą tak często zapada nasz parlament, gdyż w okresie kwaśnego mleka, ogórków i owoców jest to słabość stosunkowo bardzo rzadka, a nas w Austryi pojawiająca się jednakowoż chronicznie. Miano obrady skończyć na budżecie i jechać na wakacye, tymczasem odbywają się ciągle posiedzenia. Agraryusze celem udaremnienia wszelkiej akcyi zgłosili siedmdziesiąt nagłych wniosków i głoszą obstrukcyę nie na żarty, jako obrońcy ojczyzny stają socyaliści, którzy zgłosili również szereg nagłych wniosków, obejmujących porządek dzienny prac Izby, tj. obie ustawy traktatowe, ustawę o pomocnikach handlowych. zawieszenie ceł zbożowych i tym podobne. Jest więc niepłonna nadzieja, że obrady mogą się przeciągnąć w nieskończoność; gdyż trzeba załatwić najpierw owych siedmdziesiąt nagłych wniosków, by módz dojść do wniosków socyalistów, na których ma się skończyć sesyę przedwakacyjną. Rząd próbuje pertraktować z agraryuszami, gdy się to nie uda, prawdopodobnie będzie zmuszony zamknąć sesyę i panów posłów bez dyet posłać na wakacye.

Na Węgrzech chroniczne przesilenie przeszło znów w fazę ostrą. *Homo regius* dr. Lukacs wyjechał wprawdzie do Budapesztu z poleceniem przeprowadzenia rokowań z partyą niezawisłości, ta jednak żadną miarą na propozycye Korony zgodzić się nie chce. Wiedeń proponuje utworzenie gabinetu, w którym prezesura i cztery najważniejsze teki miałyby przypaść w udziale staroliberałom, pozostałe 4—5 tek otrzymałoby stronnictwo niezawisłości. Kossuth proponuje natomiast utrzymanie koalicyi i nadal i powołanie do życia gabinetu, ale z członkiem stronnictwa niezawisłości na czele. Z powodu wrodzonej skromności nie wspomina jednak wcale iż owym mężem opatrznościowym, który potrafiłby najlepiej sterować nawą państwową, jest właśnie on sam, a nie kto inny. Ponieważ na te warunki znów Korona przystać nie może, dojdzie prawdopodobnie do utworzenia gabinetu pozaparlamentarnego i rozwiązania Izby, co przyczynić się musi do zaostrzenia stosunku między Koroną a parlamentem i tak bardzo już naprężonego. Politycy i mężowie zaufania podróżują tymczasem nieustannie między Wiedniem i Budapesztem, tak iż ruch ogólny osobowy i towarowy narażony jest na ciągłe przeszkody. Stosunki tak się obecnie ukształtowały, iż przez miesiące letnie sprawa pozostanie na dotychczasowym martwym punkcie, a gabinet Wekerlego do jesieni będzie sprawował agendy państwowe.

Jak z tego widać, politycy z tej i tamtej strony Litawy mają o czem mówić, radzić i pisać, nie są więc w tak przyjemnem położeniu, jak ich zagraniczni koledzy. Angielscy mężowie stanu, prócz oglądania się na niebo, czy przypadkiem nie leci już Zeppelin z bombami i obawy przed sufrażystkami, które zabrały się na ostro do pracy, pędzą żywot wcale spokojny, niemieccy parlamentarzyści po podstawieniu nogi Bülowowi godzą się już na pertraktacye z kanclerzem, byle sobie tylko zapewnić spokój w czasie wakacyi. Biedni tylko posłowie austryaccy nie mogą jeszcze prędko spodziewać się wytchnienia, a jak miecz Damoklesa wisi nad nimsumta ewentualność, iż jeśli dyet im odmówią przez wakacye, krucho będzie z osobistymi finansami.

Byłbym barbarzyńcą, gdybym nie wspomniał bodaj mimochodem o dzielności pań angielskich, które pod wodzą londyńskiej Dulębianki, pani Pankhurst urządziły formalny napad na parlament. Najgorzej wyszedł na tem Bogu ducha winien komisarz policyi, na którego twarzy wyładowała się energia przywódczyni wojowniczych niewiast. Z prawdziwie angielską flegmą przyjął wymierzony przez delikatną rączkę policzek i urzędował dalej, twierdząc, iż do podobnej taktyki niewieściej przyzwyczaiło go już pożycie domowe. Gdyby u nas stało się coś podobnego, poruszonoby niebo i ziemię, parlament i ministerstwo, wyszłyby nadzwyczajne dodatki do wszystkich pism; tam załatwiono to po cichu, sufrażystek nie puszczono do sali obrad, a pani Pankhurst za swą krewkość będzie mogła na rządowy koszt urządzić sobie przymusowy wakacyjny odpoczynek. Wartoby ową energiczną niewiastę zaprosić do Krakowa i powołać ją w skład komitetu, zajmującego się sprowadzeniem zwłok Słowackiego do kraju; akcya postąpiłaby niewątpliwie raźnie naprzód, gdy ruchliwa niewiasta użyłaby swych wypróbowanych a przekonywujących argumentów wobec przeciwników umieszczenia zwłok wielkiego poety na Wawelu.

Przy niej rozruszałyby się i nasze domorosłe sufrażystki, które wiodą tak anemiczny żywot, iż prawie o nich nie słychać, a skorzystaliby na tem i mężczyźni, gdyż wówczas może zawiązałoby się jakieś towarzystwo dobroczynne, które wzięłoby w opiekę uciśniony przez płeć słabą rodzaj tak zwany męski, jęczący w uciemiężeniu przez wątłe (?!) niewiasty. Z racyi jednakowoż ostatniego występu pani Pankhurst w Londynie, radziłbym naszej sekcyi szkolnej w reprezentacyi miejskiej, aby raczyła się zastanowić, czy nie należałoby przypadkiem, ze względu na bezpieczeństwo publiczne, znieść w wyższych szkołach żeńskich nauki robót ręcznych kobiecych, których ślady tam w Londynie ów biedny komisarz, a u nas niejednokrotnie panowie mężowie, noszą na swych twarzach, szczególniej gdy nieco późniéj wrócą kiedy do domu (nb. z posiedzenia). Członkami sekcyi szkolnej są mężowie przeważnie żonaci, więc doświadczeni w tym względzie, a jako tacy powinni stanąć w obronie swych towarzyszów niedoli. Jeśli już robót ręcznych w szkołach żeńskich musi się koniecznie uczyć, niech katedrę tego przedmiotu obejmą mężczyźni, gdyż do nauki, udzielanej w tym kierunku przez kobietę, stanowczo nie mam zaufania. Nadto jestem absolutnym przeciwnikiem, by młode pokolenie żeńskie wychowywały nauczycielki stare panny, gdyż one z racyi staropanieństwa buntują swe uczenice przeciw rodzajowi męskiemu, porównywując go z rodem jaszczurczym, lub nawet jeszcze gorzej. W ten sposób wpajają w swe pupilki niechęć do stanu małżeńskiego, co z czasem może grozić państwu wyludnieniem, a co zatem idzie i brakiem zapotrzebowanego rekruta. Póki więc czas, niech miarodajne czynniki obmyślą środki zaradcze, potem może być już za późno, a przecież obowiązkiem każdego c. k. patryoty jest baczenie na konieczności państwowe, a taką jest bez wątpienia sprawa dostarczenia rządowi odpowiedniej ilości poposowych. *Caveant consules!*

Obok kwestyi kobiecej mamy jeszcze inne bolączki, nie dozwalające nam nawet w czasie wakacyi zasnąć spokojnie. Jedną z nich jest przypominająca się z racyi zmiany kwartału, sprawa drożyzny mieszkań, drugą, śrubowanie wciąż w górę cen artykułów spożywczych. Ponieważ ani dotąd nie jestem, ani nigdy nie będę właścicielem realności, uważam kamieniczników za rodzaj potępieńców, dla których właściwe miejsce jest w najciemniejszym zakątku ostatniego piekła. Żyją oni naszą krwawicą, a choć się zawsze tłómaczą, iż nie oni winni, że czynsze za mieszkania są wyższe, ale rząd, który nakłada coraz to nowe podatki, ja jednak nie daję im wiary. Wiem z doświadczenia, iż jeśli rząd podniesie podatek o dziesięć koron, właściciel realności każdemu z swych lokatorów podwyższa czynsz o dziesięć koron i jeszcze narzeka, że dzięki swemu dobremu a czułemu sercu ponosi stratę, mógł bowiem podnieść każdemu o dwadzieścia, ze względów ludzkości tego jednak nie uczynił. Gdyby tak kto owo dobre serce dał zjeść psu, biedna sobaczka zdechłaby niechybnie, spożywszy tak niestrawny smakołyk. Przeciw owym drapieżcom w ludzkiem ciele niestety strejkiem bronić się nie możemy, jak bowiem do utrzymania życia konieczne jest jedzenie, tak samo musi się mieć bodaj jaki taki dach nad głową, zwłaszcza przy tak sprzyjającej pogodzie, jaką mamy obecnie.

Sprawa drożyzny artykułów spożywczych również daje nam się porządnie we znaki. Najświeższe wiadomości, jakie nas dochodzą, zwiastują, iż obecnie podrożeje ser szwajcarski. Nad tem płakać nie będziemy. Bez szwajcarskiego sera obejdziemy się doskonale, mając w Galicyi takie nieprzebrane zapasy bryndzy majowej, wybornego gatunku. Gorzej daleko, iż chleb i mięso doszły do tak wygórowanych cen, iż nie każdy może sobie na taki zbytek pozwolić. Aby jakoś uregulować ceny pieczywa, postanowiono znieść w jakiś czas cło na zboże zagraniczne, sprzeciwili się temu jednak agraryusze i sprawa poszła w odwłokę. Piekarze śmiali się w kułak, twierdząc między sobą, że choć ceny zboża będą wówczas niższe, będą i bułki mniejsze, bo wielkie pieczywo nie wygląda wcale apetycznie. Rzeźnicy cieszą się też poparciem sfer miarodajnych, które wszelkiemi siłami bronią otwarcia granic dla dowozu zagranicznego bydła, twierdząc, iż w kraju mamy go dosyć. Zdecydowano się nareszcie do trzynastu miast austryackich dopuścić mięso rumuńskie, zapomniano jednak o Galicyi, która widocznie bez mięsa obejść się potrafi. Jeśli się trafi, że jakaś władza weźmie konsumentów w obronę, rzeźnicy głoszą świętą wojnę. jak to było we Lwowie i zwykle wychodzą z niej zwycięsko. Gdy tak dalej pójdzie, trzeba będzie chwycić się kuracyi głodowej, chwalonej tak przez rozmaite pisma. Uczynimy to z konieczności. Wydział krajowy będzie musiał zaprowadzić wówczas wędrownych instruktorów głodomorstwa, ku czemu mogą się doskonale nadać emerytowani nauczyciele ludowi lub byli dyurniści, którzy w ciągu swej urzędowej karyery nauczyli się obchodzić bez jadła i napoju. Albo też wróćmy do owych miłych czasów, kiedyto ludzie karmili się korzonkami i korą drzew, spieszmy się jednak, bo tymczasem Prusacy wykarczują nam wszystkie lasy, nie będzie więc ani szyszek, ani kory i korzonków.

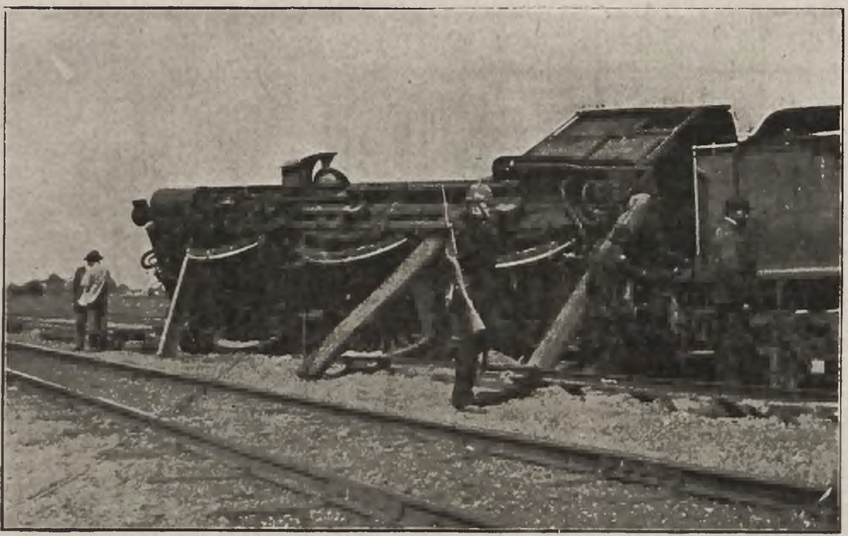
Kuracyę głodową bardzo przyjemnie i swobodnie przeprowadzić można w czasie wakacyjnym, kiedy każdy, kto tylko czuje w kieszeni bodaj kilka koron wyrusza na świeże powietrze, aby go użyć w całej pełni. Młody człowiek z letniego wytchnienia wraca zazwyczaj jeszcze bardziej zmęczony i zblazowany, niż wyjechał, staruszkowie bardziej ociężali niż byli przedtem, wolny bowiem czas spędzał pierwszy na romansach, drudzy na ciągłym wiście lub taroku z księdzem proboszczem. Kto zresztą u nas używa we wakacye świeżego powietrza? Na to jedna odpowiedź: Wszyscy, tylko nie ci, którzy go potrzebują. Strojne damy wyjeżdżają do Zakopanego, Krynicy, Szczawnicy lub zagranicę, gdzie kuracya, której właściwie nie potrzebują, zasadza się na kilkakrotnej codziennie zmianie toalety i kręceniu się w kółko po deptaku, byle być tylko widzianą i podziwianą. Mężowie kontenci, że pozbyli się bodaj na parę tygodni kłopotu, zostają w domu i starają się całą piersią używać przyjemności, jakich nastręcza oddalenie czcigodnej połowicy, a właściwie to oni powinni byli wyjechać z Krakowa na świeże powietrze, by odpocząć i odetchnąć po całorocznem ślęczeniu nad biurkiem. Nie każdego jednak stać na to, by mógł wyjechać razem ze żoną, prawdę zaś powiedziawszy, to i żona kontenta, że męża nie widzi i mąż zadowolony, że jest od niej daleko. Komu zdałby się spoczynek wakacyjny, to owym biedakom, którzy jak rok długi zapracowywują się przy biurkach, a co najwyżej w niedzielę pozwolą sobie na spacer poza miasto. Takich powinno się przymusowo wywozić na świeże powietrze, gdzieby musieli pozostać pewien z góry oznaczony czas.

W czasie wakacyi wyjeżdża na świeże powietrze również wielu brukotłuków, którzy rok cały nie mają nic do roboty, czując jednak w kieszeni grosiwo, zapracowane często w pocie czoła przez ojca, uważają za rzecz dobrego tonu opuszczenie na lato murów miejskich i podążenie gdzieś na willegiaturę. Te osobniki przenoszą zagraniczne miejsca kąpielowe nad krajowe, gdyż tam mają sposobność udawania polskich hrabiów, co w kraju wcale się nie udaje. O biedakach, którzy rzeczywiście zmuszeni są słabością do szukania pomocy i poratowania zdrowia w miejscach kąpielowych i uzdrowiskach nie wspominam nawet, z nich niezadowoleni są i przedsiębiorcy i hotelarze i reszta żądnej zabawy publiczności, której wynędzniałym swym wyglądem psują tylko humor i rozrywkę.

X.



Katastrofa kolejowa pod Rzeszowem: Tender pociągu.



Katastrofa kolejowa pod Rzeszowem: Lokomotywa i tender po katastrofie.

Katastrofa kolejowa pod Rzeszowem.

Jeszcze nie przebrzmiało echo katastrofy kolejowej na Podzamczu we Lwowie, a już doniosły pisma o nowym wypadku, który wydarzył się w poniedziałek popołudniu, na linii Jasło-Rzeszów, obok stacyi Staroniwa.

Wypadek ten miał, wedle opowiadania naocznych świadków, następujący przebieg: Tuż obok stacyi Staroniwa, w czasie gdy pociąg idący do Rzeszowa przebiegał po krzyżujących się szynach, odczuto nagle silne wstrząśnienie i gwałtowne skakanie wozów po progach. Wnet potem lokomotywa pociągu upadła na bok, a za nią przechyliły się tender, wóz składowy i pierwszy wagon osobowy.

Pociąg w tej chwili stanął, gdyż maszynista zdołał wypuścić parę z kotła i zahamować motor. Rozległy się równocześnie okrzyki przerażenia, ogólna panika opanowała podróżnych, którzy poczęli wyskakiwać z wagonów, dopytując się o przyczynę gwałtownego wstrząśnienia.

Ofiarą wypadku padły cztery osoby ze służby kolejowej, a mianowicie maszynista J. Stopa, palacz W. Wojtanik, kierownik pociągu W. Dąbrowski i konduktor A. Hauderek, którzy ulegli bardzo silnemu wstrząsowi wewnętrznemu. Z pomiędzy podróżnych zgłosiło się kilkanaście osób jako chore.

Co do przyczyny wypadku, to było nią — zdaje się — wadliwe funkcyonowanie zwrotnicy.

Wyścigi cyklistów Przemyśl-Lwów.

Galicyjskie towarzystwo cyklistów urządziło w ubiegłą niedzielę wielkie drogowe wyścigi cyklistów na 100-kilometrowej przestrzeni z Przemyśla do Lwowa.

Organizacya wyścigów była doskonała, w licznych punktach po drodze rozstawieni byli członkowie Tow., względnie gniazd sokolich, celem prowadzenia kontroli, nadto towarzyszyły współzawodnikom cztery samochody, z lekarzem, sędziami i sprawozdawcami sportowymi dzienników lwowskich.

Udział w wyścigu był bardzo liczny, gdyż do startu stanęło 18 cyklistów, przeważnie ze Lwowa, czteru z Krakowa, a kilku z innych miast prowincyonalnych.



Fot. M. Münz, Lwów.

Wyścigi cyklistów Przemyśl-Lwów: Zwycięzca i mistrz Galicyi „Wiluś“ (pseud.)

Wyników atoli niedzielnych zapasów nie można nazwać pomyślnymi; z pomiędzy tak wielu współzawodników zaledwie paru okazało się jeźdźcami należycie przygotowanymi i wytrenowanymi do jazdy na dystans. Ogromna część wyścigowców już w połowie ustała, a z tych, którzy do mety przybyli, tylko dwaj pierwsi nie byli zupełnie wyczerpani.

Zwycięstwo odniósł lwowski cyklista Wiluś (pseud.), drugim był Romański ze Lwowa, trzecie



Fot. M. Todt. Przemyśl.

Wyścigi cyklistów Przemyśl-Lwów: Uczestnicy wyścigu przed startem w Przemyślu.

miejsce zdobyła czwórka krakowskich cyklistów, którzy następnie rozlosowali między siebie cztery pozostałe nagrody.

Wyścig niedzielny powinien być dla cyklistów naszych zachętą do dalszej pracy, do wytrwałego treningu, bez którego trudno się porywać do wyścigów na daleką metę.

Sejm oświatowy.

Doroczne zjazdy delegatów kół T. S. L. słusznie nazywa się sejmami oświatowymi. Bo na zjazdach tych omawiają delegaci z całego kraju, z najdalszych nawet jego zakątków, żywotne bardzo i doniosłe sprawy oświaty narodowej. Zrozumiało społeczeństwo nasze, że bez samopomocy, bez współdziałania wszystkich sfer, nie da się wytrzebić strasznej klęski analfabetyzmu, pospieszyło też tłumnie w szeregi towarzystwa Szkoły ludowej, aby pod jego sztandarem pracować nad oświatą ludu.

Dziś jest T. S. L. organizacyą ogromnie silną, rozporządzającą milionowym funduszem obrotowym, mającą 258 organizacyj lokalnych, tj. kół; dorobkiem T. S. L. jest 319 szkół i instytucyj wychowawczych, 1715 czytelń i wypożyczalń. Zasługą tego towarzystwa jest rozbudzenie świadomości narodowej wśród ludności polskiej na wschodnich i zachodnich kresach Galicyi.

Tegoroczny zjazd sprowadził do Kołomyi 250 delegatów, w tem kilku posłów. Obrady trwały pełne dwa dni, tj. przez sobotę i niedzielę ubiegłego tygodnia, pod przewodnictwem zasłużonego prezesa, posła dra Ernesta Bandrowskiego. W ciągu tych dwóch dni załatwiono cały szereg najważniejszych spraw administracyjnych, przedyskutowano sprawozdanie Zarządu głównego, któremu uchwalono absolutoryum i uznanie za gorliwą pracę, załatwiono mnóstwo wniosków i rezolucyj, nadto dokonano wyboru uzupełniającego części członków Zarządu głównego.

Wybory te stały się też przyczyną pewnego dyssonansu, większość bowiem zebranych, rekrutująca się ze stronnictwa demokratyczno-narodowego, pominęła dwu dotychczasowych członków ze stronnictwa ludowego. Z tego powodu ludowcy złożyli deklaracyę z oświadczeniem, iż wobec usunięcia dwóch ich przedstawicieli od pracy w Zarządzie głównym, usuwają się wszyscy od udziału w ciałach zwierzchniczych T. S. L.



Sejm oświatowy: Scena z obrad w sali Sokoła w Kołomyi.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 25.

Zagadka literacka: Eliza Orzeszkowa.

Łamigłówka: Sieć, Michaś, Uznojmo, Twed, elektroliza. Kastor. *Smutek. radość.*

Szarada: Kanapa.

Zadanie konikowe:

Wielkie domy za granicą.
A w nich ciasno, choć nie ludno,
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwie człek by czasem wierzył,
Dom niewielki w tem gość wchodzi
Ot i domek się rozszerzył
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.

Oagadka: Zeus. Suez.

Łamigłówka: Ani posła.

Logogryf: Vasco de Gama.

Zagadka do przestawienia: Koniec dzieło chwali.



Katastrofa kolejowa pod Rzeszowem: Akcya około ı odźwignięcia lokomotywy.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, J. Słapa Sambor. B. Sikora Cieszyn, J. Nowacki Przemyśl, K. Brzozowski Stanisławów, M. Ludwińska Łódź, J. Dreyfus Lwów, K. Link Sandomierz, B. Ohringer Lwów, W. Aleksanprowicz Kraków, K. Rebhun Lwów. J. Bałicki Kraków. J. Gliński Lwów, L. Lemiszewski Kołomyja. B. Lindenbaum Czortków, A. Biliński Tarnopol. W. Ossowski Warszawa. M. Lipowski Kraków, W. Łachecki Kraków, S. Kowerska Łódź, W. Rapelska Płock, S. Giżycki Warszawa, J. Kohn Rzeszów, M. Lubowska Radom, J. Wieczkowski Kołomyja. J. Kisielewski Tarnopol. E. Gołogórski Lwów. B. Stern Łódź. M. Szafrański Kraków, T. Nikiel Kraków, B. Michalec Kraków, A. Augustynowicz Świątniki, S. Sanojen Kraków, H. Wang Rzeszów, H. Hamulińska Lwów, S. Landau Rzeszów, J. Thuszów Kraków. J. Obraczny Kraków. S. Stanisławczyk Rzeszów, K. Kaniocki Krosno. J. Pniewski Rzeszów, K. Wysogląd Rzeszów,

Nagrodę przez losowanie otrzymała *p. Ludwińska w Łodzi.* Upraszamy o nadesłanie 35 kop. na koszta poleconej przesyłki.



Sejm oświatowy: Grupa delegatów Zjazdu T. S. L. w Kołomyi.

Z półek księgarskich.

Wincenty Korolewicz. **„Na Monsalvat“.** Prolog. Kraków 1909. G. Gebethner i Spółka. Odbito w drukarni W. L. Anczyca. — Ostatnie dzieło znanego już zaszczytnie w literaturze autora, układem i treścią odpowiada wszelkim wymogom sztuki samotwórczej i musi się spotkać z najpochlebniejszą oceną i surowego krytyka. Do całości dostraja się i nader starannie wykonana strona zewnętrzna.

Stanisław Brandowski: **„Moja Menażerya“.** Obrazki, szkice i humoreski. Lwów 1909. Nakład księgarni J. Maniszewskiego.

Zbiór dość wesołych opowiadań z bruku, drukowanych poprzednio w codziennych pismach lwowskich.

Plato Reussner: **„Chrestomathie française“.** (Morceaux Chisis) avec un Vocabulaire en 4 langues. Varsovie. Edition et proprietété de l'auteur.

Podręcznik, mogący oddać wielkie usługi przy nauce języka francuskiego. Nazwisko autora, znakomitego pedagoga służyć powinno za najlepszą reklamę.

Karol Wróblewski: **„Genesis z Ducha — Modlitwa“** J. Słowackiego. (Obraz duszy poety). 1909. Lwów księgarnia H. Altenberga. Warszawa. E. Wende i Sp.

Rzecz napisana zajmująco i treściwie, świadczy o głębokiem przejęciu autora dziełami znakomitego wieszcza narodowego. Forma, dla przeciętnego śmiertelnika może nieco za ciężka, choć wcale umiejętnie opracowana.

Zenon Parvi: **„Marsz, marsz Dąbrowski“,** dramat w jednym akcie. Utalentowany dziennikarz i literat, Zenon Parvi, zasilił znowu literaturę naszą dramatyczną dziełem bardzo wybitnem. Jednoaktowy ten dramat odznacza się niezwykłą siłą i przemawia głęboko do duszy czytelnika. Wiersz piękny, potoczysty, język wspaniały, akcya żywa i wiążąca uwagę, oto zalety utworu p. Parviego. Obok „Knajpy“, „Dwóch psów“, a zwłaszcza „Roku 1794“, najpiękniejszy to dorobek twórczości młodego autora.

ZAMKNIĘCIE RACHUNKÓW

TOWARZYSTWA WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ W KRAKOWIE.

Rozchód. Rachunek zysków i strat z działu ogniowego za czas od 1-go stycznia 1908 do 31-go grudnia 1908 r. **Przyhód.**

		K	h	K	h			K	h	K	h
I.	Szkody i koszta likwidacyi wypłacone mniej	6,672.787	42			I.	Fundusze przeniesione z roku 1907	14,374.656	28		
	zwrot od Towarzystw kontrasekuracyjnych	1,814.438	77	4,858.348	65		mniej kontrasekuracya	1,360.371	55	13.014.284	73
II.	Ogólne wydatki zarządu po potrąceniu prowizyi					II.	Fundusz na szkody nieuregulowane przeniesiony				
	kontrasekuracyjnej			2,029.388	41		z roku 1907	1,296 065	33		
III.	Odpisy i inne wydatki			1,193.740	63		mniej kontrasekuracya	327.749	17	968.316	16
IV.	Rezerwa na szkody nieuregulowane	981.846	76			III.	Zebrana premia	11.967.792	96		
	mniej udział Towarzystw kontrasekuracyjnych	251 894	61	729.952	15		mniej kontrasekuracya	3,379.427	41	8,588·365	55
V.	Stan funduszów z końcem roku 1908	14,469.239	91			IV.	Przychód z lokacyi kapitałów			371.517	47
	mniej kontrasekuracya	1,351.770	96	13,117.468	95	V.	Inne przychody			521.187	74
VI.	Pozostałość			1,534.772	86						
				23,463.671	65					23,463 671	65

Stan czynny. Rachunek bilansu z działu ogniowego z dniem 31. grudnia 1908 r. **Stan bierny.**

		K	h	K	h			K	h	K	h
I.	Stan kas z dniem 31 grudnia 1908			335.381	10	I.	Fundusz rezerwowy			7.278.754	37
II.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kre-					II	Fundusz na zwroty			166.324	26
	dytowych i kasach oszczędności			1,594.349	12	III.	Fundusz wyrównawczy i specyalny			2,139.060	29
III.	Realności			1,870 000	—	IV.	Rezerwa premii	4,797.966	73		
IV.	Papiery wartościowe według kursu z dnia 31-go						mniej kontrasekuracya	1,351 770	96	3,446.195	77
	grudnia 1908 r.			8,372.294	52	V.	Rezerwa na szkody nieuregulowane	981.846	76		
V.	Weksle w portfelu			215.073	33		mniej kontrasekuracya	251.894	61	729 952	15
VI.	Salda czynne rachunków z Towarzystwami kontr-					VI	Fundusz emerytalny			2,524.020	24
	asekuracyjnemi			1,408.171	44	VII.	Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontr-				
VII.	Zaległości w agenturach i filiach (salda czynne)			2,123.104	38		asekracyjnemi			240.333	26
	Różni dłużnicy			2,877.612	75	VIII	Różni wierzyciele			91.586	59
VIII.	Wartość inwentarza po odpisaniu zużycia			9.681	30	IX.	Kaucye agentów			553.053	38
IX.	Efekta kaucyi agentów			553.053	38	X.	Fundusze			654.668	15
X.						XI.	Pozostałość			1,534.772	86
				19,358.721	32					19,358.721	32

Rozchód. Rachunek zysków i strat z działu gradowego za czas od 1-go stycznia 1908 do 31-go grudnia 1908 r. **Przychód.**

		K	h	K	h			K	h	K	h
I.	Szkody i koszta likwidacyi wypłacone	2,188.444	81			I.	Fundusze przeniesione z r. 1907			2,859.313	07
	mniej zwrot od Towarzystw kontrasekura-					II.	Zebrana premia	1,542.795	24		
	cyjnych	674 218	47	1,514,226	34		mniej kontrasekuracya	446.111	82	1.096.683	42
II.	Ogólne wydatki zarządu po potrąceniu prowizyi					III.	Fundusz na szkody nieuregulowane przeniesiony				
	kontrasekuracyjnej			115.680	58		z roku 1907			23.447	96
III.	Odpisy i inne wydatki			69 628	74	IV.	Przychód z lokacyi kapitałów			111.843	51
IV.	Fundusz na szkody nieuregulowane			11.214	11	V.	Inne przychohy			66.933	74
V.	Stan funduszów z końcem r. 1908			2,950.032	92	VI.	Niedobór			502.560	99
				4,660.782	69					4,660.782	69

Stan czynny. Rachunek bilansu z działu gradowego z dniem 31. drudnia 1908 r. **Stan bierny.**

		K	h	K	h			K	h	K	h
I.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kre-					I.	Fundusz rezerwowy			2,780.915	69
	dytowych i kasach oszczędności			44.851	89	II.	Fundusz wyrównawczy i specyalny			144.611	79
II.	Papiery wartościowe według kursu z dnia 31-go					III.	Różni wierzyciele			687.269	01
	grudnia 1908			2,732.095	56	IV.	Fundusz na zwroty			24.505	44
III.	Weksle w portfelu			125 438	02	V.	Fundusz na szkody nieuregulowane			11.214	11
IV.	Salda czynne rachunków z Towarzystw. kontr-					VI.	Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontr-				
	asekuracyjnemi			291.895	05		asekuracyjnemi			1.440	10
V.	Różni dłużnicy			34.644	32	VII.	Fundusze			82.510	79
VI.	Wartość inwentarza			981	10						
VII.	Niedobór			502.560	99						
				3,732.466	93					3,732.466	93

Kraków, dnia 31. grudnia 1908 r.

DYREKCYA:

M. Garapich. **Ig. Głażewski.** **Paszkowski.**

Naczelnik centralnego biura rachunkowego: *Wiktor Gablenz.*

KOMISYA RACHUNKOWA:

M. Urbański. **Antoni hr. Wodzicki.** **M. Dydyński.**

Klemens hr. Dzieduszycki.

Rozchód. Rachunek zysków i strat z działu życiowego za czas od 1-go stycznia do 31-go grudnia 1908 r. **Przychód.**

		K	h	K	h			K	h	K	h
I.	Wypłaty płatnych zabezpieczeń i rent	3,310.292	34			I.	Przeniesienie funduszów z roku poprzedniego	33.122.931	76		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	115.024	65	3,195.267	69		mniej udział Tow. kontrasekurac.	1,259.531	44	31,863.400	32
II.	Wypłaty na wykupione police	376.501	50			II.	Rezerwa na wypłatę nieuregulowanych szkód				
III.	mniej udział Tow. kontrasekurac,	24.281	15	352.220	35		z roku poprzedniego	405.516	99		
IV.	Dywidenda ubezpieczonym wypłacona			192.579	63		mniej udział Tow. kontrasekurac.	4.000	—	401.516	99
	Ogólne wydatki zarządu			878.486	85	III.	Zebrane premie	4,568.487	11		
V.	Odpisy i inne wydatki			236.759	28		mniej udział Tow. kontrasekurac.	98.769	56	4,469.717	55
VI.	Rezerwa na bieżące wypłaty szkód	457.817	90			IV.	Przychód z lokacyi kapitałów			1,617.531	62
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	7.500	—	450.317	90	V.	Inne przychody			89.788	38
VII.	Stan funduszów z końcem roku rachu.	33,860.254	19								
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	1,240.784	52	32,619.469	67						
VIII.	Zysk			516.853	49						
				38,441.954	86					38,441.954	86

Stan czynny. **Rachunek bilansu z działu ubezpieczeń na życie z dniem 31. grudnia 1908 r.** **Stan bierny,**

		K	h	K	h
I.	Zapas kasowy			50.224	45
II.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytowych i kasach oszczędn. . . .			279.965	17
III.	Realności			300.000	—
IV.	Papiery wartościowe według kursu z dnia 31-go grudnia 1908			6,863.607	35
V.	Pożyczki hipoteczne			9,490.064	47
VI.	Pożyczki na własne police			4,162.510	48
VII.	Pożyczki stowarzyszeniom			12,215.274	48
VIII.	Pożyczki ubezpiecz. na zastaw pensyi . .			489.815	53
IX.	Salda czynne rachunków z towarzystwami kontrasekuracyjnemi			16.164	15
X.	Zaległości w agenturach i filiach . . .			475.098	58
XI.	Różni dłużnicy			189.117	13
XII.	Efekta kaucyjne			14.277	51
				34,546 119	30

		K	h	K	h
I.	Rezerwa zysków, kapitałów			3,316.646	23
II.	Fundusz na różnicę kursu			—	—
III.	Rezerwa i przeniesienie premii			29,096.075	31
IV.	Rezerwa na nieuregulowane szkody . . .			450,317	90
V.	Fundusz niepodniesionej dywidendy . . .			206.748	13
VI.	Sałda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi			36.456	33
VII.	Różni wierzyciele			328.267	22
VIII.	Różne kaucye			14.277	51
IX.	Fundusz emerytalny			580.477	18
X.	Zysk			516.853	49
				34,546.119	30

Kraków, dnia 31. grudnia 1908 r.

DYREKCYA:

M. Garapich. **Ig. Głażewski.** **Paszkowski.**

Naczelnik działu ubezpieczeń na życie:

E. Szancer.

rządowo autoryzowany technik asekuracyjny.

Naczelnik biura rachunkowego:

A. Szyszkiewicz.

KOMISYA RACHUNKOWA:

Konst. Lipowski. **St. Dydyński.** **Dr. E. Kamieński.**

K. Bzowski. **Skrzyński.**

Podział zysku.

		Dział ogniowy		Dział gradowy		Dział życiowy	
I.	Dywidendy	1,307.013	90	—	—	254.590	34
II.	Uposażenie funduszów	227.758	96	—	—	262.263	15
	Razem . .	1,534.772	86	—	—	516.853	49

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

ZAPACH DAMY W CZERNI

napisał Gaston Leroux.

20 (Ciąg dalszy)

Chciał i jej dodać odwagi, sił... lecz nie miała już ich, wyciągnęła tylko ku niemu ręce i on padł w jej objęcia. Słychać było ciche łkanie. Uczyniłem ruch, by się cofnąć, lecz oboje zatrzymali mnie, jakby bali się pozostawać sami w tym krwawym pokoju. Odezwała się:

— *Jesteśmy wybawieni*...

Rouletabille padł wtedy przed nią na kolana i głosem pełnym błagania prosił: „Byśmy byli tego pewni, mamo... pewni... trzeba, byś mi powiedziała wszystko... wszystko co się stało... wszystko coś widziała...“

Wreszcie mogła mówić. Spojrzała na zamknięte drzwi, po porozrzucanych meblach, na plamy krwi i cichym szeptem opowiedziała nam tę okrutną scenę. Natychmiast po wejściu do pokoju, Darzac zasunął zasuwki i skierował się do stołu, który stał w pośrodku,[1] gdy wybuchła ta sprawa. Ona była z lewej strony, przechodząc do swego pokoju. Świeciła się tylko mała świeca. Naraz wśród ciszy rozległ się niespodziewany trzask mebla, ku któremu zwrócili zaraz głowy, serca ich silniej zabiły. Trzask pochodził ze szafy. Potem wszystko ucichło. Patrzyli na siebie, nie śmiejąc, ani mogąc przemówić. Darzac zrobił ruch, by podejść do szafy, gdy naraz został jakby przybity na miejscu przez drugi trzask, głośniejszy od pierwszego; Matyldzie zdawało się, że szafa poruszyła się. Sądziła, że to może jest tylko złudzenie, tak samo myślał i Darzac, który postąpił naprzód, lecz w chwili tej drzwi szafy rozwarły się przed nimi... jakaś ręka niewidoma popchnęła je... Chciała zawołać, brakło jej jednak głosu... drgnęła tylko cała z przerażenia i upuściła lichtarz, gdy z szafy wysunął się jakiś cień i Darzac krzycząc z wściekłości rzucił się na niego.

— A ten cień miał przecież twarz! — przerwał Rouletabille. — Mamo!... Dlaczegoś ty nie widziała twarzy tego cienia?... Zabiłaś cień, lecz skąd wiadomo, że to był Larsan!... Możeś ty zabiła cień nie Larsana?

— Oh! tak! *już nie żyje!*

Nie dodała nic więcej. Patrząc na Rouletabille'a, pytałem się sam siebie: „Więc kogo oni zabili, jeżeli nie jego! Jeżeli Matylda nie widziała jego twarzy, to słyszała jego głos. I Bernier go słyszał i poznał z tych słów: „Jeszcze ten cios i będę cię miał“ a Robert powalony wołał ostatnim wysiłkiem: Matyldo!... Matyldo!... Wtedy wśród nocy zbliżyła swój cień do ich dwojga walczących cieni; nagle padł strzał a ona krzyknęła przeraźliwie... Kto został trafiony?... Kto żyje?... Kto się odezwie?...

... I oto Robert przemówił!...

Rouletabille wziął w ramiona swą Damę w czerni i prawie na rękach zaniósł ją do drzwi jej pokoju, i tam rzekł: „Idź, mamo, opuść nas, muszę pracować, działać dla ciebie, dla Darzaca, dla siebie!“ — „Nie zostawiajcie mnie!... nie chcę być samą!“ krzyknęła pełna obawy. Rouletabille przyrzekł jej, że nie wyjdzie i błagał, by się położyła spać, gdy nagle zapukano i zaraz potem usłyszeliśmy głos Darzaca.

— Wreszcie! — zawołał Rouletabille i otworzył drzwi.

Zdawało się nam, że wchodzi umarły. Nigdy postać ludzka nie była tak bladą, bezkrwistą, bez życia. Doznane wrażenia tak go wyczerpały, iż sam nie czynił już żadnego.

— Ach! jesteście tutaj — rzekł. — Wszystko skończone!...

Padł na fotel, na którym siedziała poprzednio Dama w czerni i podniósł na nią oczy.

— Wola twoja spełniona... Jest tam, gdzieś chciała!...

Rouletabille zapytał zaraz:

— Ale pan widział jego twarz?

— Nie, nie widziałem!... Czyż miałem rozwiązywać worek?...

Sądziłem, że Rouletabille będzie niezadowolony z tego, lecz on podszedł do Darzaca i rzekł:

— Ach! więc pan nie widział jego twarzy!... To bardzo dobrze! bardzo dobrze!...

I uścisnął go serdecznie za rękę.

— Główna jednak rzecz nie na tem polega — mówił dalej. — Pan pomoże mi teraz. Zaraz...

I prawie wesoły schylił się na ziemię i jak pies zaczął wszędzie węszyć, zaglądać pod meble, pod łóżko i co chwila podnosił głowę, by powiedzieć:

— Znalazłem coś! znalazłem coś, co nas zbawi!

Odpowiedziałem mu, patrząc na Darzaca:

— Czyż nie jesteśmy już wybawieni?

— ...Co ocali nasze mózgi — dodał Rouletabille.

— On ma racyę — odezwał się Darzac. — Musimy wiedzieć, jak ten człowiek wszedł tutaj...

Nagle Rouletabille podniósł się, trzymając w ręku rewolwer, który znalazł pod szafą.

— Ach, znalazł pan jego rewolwer! — rzekł Darzac. Na szczęście nie miał *on* czasu użyć go.

Przy słowach tych wyjął z kieszeni swój własny zbawczy rewolwer i podał go swemu przyjacielowi, mówiąc:

— To jest dobra broń!

Rouletabille obejrzał rewolwer Darzaca i porównał go ze znalezionym; był to buldog ze stemplem londyńskim; wydawał się zupełnie nowym, nieużywanym wcale i miał wszystkie naboje.

— Larsan używa rewolweru chyba w ostateczności tylko — zauważył. Nie lubi czynić hałasu. Może pan być przekonany, że chciał tylko nastraszyć swym rewolwerem, w przeciwnym bowiem razie strzeliłby natychmiast.

Potem oddał rewolwer Darsacowi, a Larsana schował do kieszeni.

— Po co teraz nosić broń — zapytał Darzac — może mi pan wierzyć, że jest to zbyteczne.

— Tak pan sądzi?

— Jestem tego pewny.

Rouletabille wstał, przeszedł się po pokoju i odpowiedział:

— Z Larsanem nigdy nie można być niczego pewnym. Gdzie są zwłoki?

— Niech pan zapyta o to żony. Ja chcę zapomnieć o tem. Już nic nie wiem o tej strasznej sprawie. Gdy wspomnienie tej ohydnej jazdy z człowiekiem konającym nawiedzi mnie kiedykolwiek, powiem sobie: to złudzenie... Nie mówmy już o tem. Jedynie tylko żona wie, gdzie są zwłoki. Ona może to powiedzieć.

— I ja już zapomniałam — odezwała się pani Darzac.

— A jednak — upierał się Rouletabille — pan mówi, że był on w agonii, konał. A czy teraz jest pan pewny, że już nie żyje?

— Jestem tego pewny.

— Oh! już koniec, koniec! Przecież wszystko skończone — prosiła Matylda. — Popatrzcie, już słońce!... Ta straszna noc już zamarła, zamarła na zawsze!

I nagle Dama w czerni zaczęła śmiać się coraz głośniej, coraz więcej. Zerwaliśmy się przestraszeni, lecz urwała nagle i nastąpiło przygnębiające milczenie. Nie śmieliśmy ani na siebie patrzeć, ani na nią; sama przerwała ciszę:

— Przeszło już, minęło... już skończone, nie będę się śmiała więcej.

Usłyszeliśmy potem cichy głos Rouletabille'a.

— *To będzie skończone, gdy dowiemy się, jak on wszedł.*

— Po co? — odparła Dama w czerni. — Jest to tajemnica, którą *on* uniósł z sobą. On tylko mógłby to powiedzieć, lecz już nie żyje.

— Wtedy dopiero będzie on istotnie martwym, gdy my to będziemy wiedzieli! — rzekł znowu Rouletabille.

— Więc dopóki nie będziemy wiedzieli — zauważył Darzac — będziemy chcieli to poznać; i on będzie tutaj w nas, w naszym umyśle. Usuńmy go! Musimy go usunąć!

— Usuńmy go! — zakończył Rouletabille.

I podszedł do Damy w czerni, a biorąc ją za rękę, starał się zaprowadzić do sąsiedniego pokoju i namówić do spoczynku. Matylda oznajmiła jednak, że nie wyjdzie: „Chcecie szukać Larsana, a ja tu nie będę!...“ I zdawało się nam, że zacznie się znowu śmiać. Daliśmy znak Rouletabille'owi, by ustąpił,

Otworzył wtedy drzwi i zawołał Bernierów.

Staruszkowie weszli z wahaniem, poczem nastąpiła ogólna konfrontacya, z której wynikało, że:

1) Rouletabille o godzinie piątej był w mieszkaniu Darzaców i zaglądał do szafy.

2) Po piątej godzinie pokoje te były otwierane tylko dwa razy przez Berniera, który ciągle miał klucz przy sobie. Naprzód po piątej kilka minut, by przepuścić Darzaca, a potem o pół do dwunastej dla nich obojga.

3) Bernier zamknął natychmiast drzwi, jak tylko Darzac razem z nami wyszedł między kwadrans na siódmą a pół do siódmej.

4) Gdy Darzac wracał do pokoju tak po południu jak i wieczorem, zaraz zasuwał zasówki.

5) Bernier pozostawał na straży przed drzwiami od piątej do dwunastej z dwuminutową przerwą o szóstej godzinie.

Gdy wszystko to zostało stwierdzone, Rouletabille, który siedział przy stole, podniósł się i rzekł:

— Wszystko jest bardzo proste. Mamy jedną tylko nadzieję; polega ona na przerwie w pilnowaniu drzwi przez Berniera około szóstej godziny.

W chwili tej nikogo nie było przed drzwiami, lecz był ktoś za niemi. I był to pan — zwrócił się przytem do Darzaca. — Czy po przypomnieniu sobie wszystkiego *może pan powtórzyć, że po wejściu do pokoju zamknął pan natychmiast drzwi i zasunął zasówki?*

Darzac odpowiedział bez najmniejszego wahania: *Powtarzam to!* i dodał: *I odsunąłem je dopiero wtedy, gdy pan razem z panem Sainclair zapukali do mych drzwi.*

I powtarzając to, człowiek ten, jak stwierdzono później, mówił prawdę.

XIV.

Podczas gdy Darzac za radą Rouletabille'a krzątał się z Bernierem nad zatarciem śladów walki, Dama w czerni przebrała się szybko i pospieszyła do ojca. Przed wyjściem zalecała nam jeszcze roztropność i milczenie. Wkrótce odszedł Rouletabille.

Była już siódma godzina i życie zaczęło się budzić dokoła. Z morza dochodził nas śpiew rybaków udających się na połów. Rzuciłem się na łóżko i zasnąłem głęboko, zwyciężony całonocnem zmęczeniem. Gdy się potem obudziłem, pozostawałem kilka chwil na posłaniu, nie mogąc się ocknąć zupełnie: naraz podniosłem się i przypominając sobie wszystkie wypadki nocy, spojrzałem na zegarek.

Jedynasta godzina!... Gdzie jest Rouletabille?... Łóżko jego posłane... Ubieram się pospiesznie i znajduję swego przyjaciela na dziedzińcu. Wziął mnie pod rękę i poprowadził do wielkiej sali w Wilczycy. Zdziwiłem się, widząc tam wszystkich zebranych. Byli obecni i państwo Darzac. Zachowanie Artura Rance'a wydało mi się nadzwyczaj chłodnem. Jego uścisk ręki był lodowaty. Jak tylko weszliśmy, pani Edyta powitała nas temi słowy: „Och, oto pan Rouletabille z swym przyjacielem. Dowiemy się wreszcie, czego chce“. Na to Rouletabille przeprosił zebranych, że ich wezwał o tak wczesnej porze, lecz jak dodał, ma do zakomunikowania im sprawę niecierpiącą zwłoki. Ton, jakim to powiedział, był tak poważny, iż pani Edyta udała, że drży i strasznie się boi, Rouletabille jednak, którego nic nie zmieszało, odpowiedział: „Z drżeniem należy poczekać na samą wiadomość, a uprzedzam, że nie będzie ona wesołą“. Spojrzeliśmy na siebie. Co on chce powiedzieć? Poprosił, byśmy wszyscy usiedli i zaczął. Zwrócił się do pani Edyty:

— Przedewszystkiem pozwoli pani zawiadomić wszystkich, że tę „obronę“, jaką otoczyłem cały fort dla bezpieczeństwa państwa Darzac i na którą pani łaskawie zgodziła się, mimo iż była ona uciążliwą, postanowiłem znieść.

— Ach! istotnie znosi pan te straże! Cieszę się bardzo z tego, chociaż mnie to wcale nie zawadzało, a nawet bardzo mi się to podobało, gdyż lubię romantyczność; jeżeli się cieszę, to tylko dlatego, iż obecnie państwu Darzac w takim razie nic nie grozi.

— Oczywiście — odparł Rouletabille — dopiero od tej nocy.

Pani Darzac poruszyła się niespokojnie, co sam tylko zauważyłem.

— Jak to dobrze! — zawołała pani Edyta. — Cieszmy się! Lecz dlaczego ja i mój mąż dopiero ostatni dowiadujemy się o tem?... — Nocy tej działy się więc niezwykłe rzeczy! Naprzykład nocna wycieczka pana Darzaca... Pan Darzac jeździł do Castelar?

Gdy mówiła, widziałem co raz większe zmieszanie Darzaców. Pan Darzac spojrzał na żonę i chciał się odezwać, lecz Rouletabille przeszkodził.

— Nie wiem, dokąd pan Darzac jeździł tej nocy, lecz to wiem, iż muszę pani powiedzieć, dlaczego państwu Darzac nie grozi już żadne niebezpieczeństwo. Mąż pani zapewne powiadomił panią o dawnym napadzie na panią Darzac i o...

— Fryderyku Larsanie... tak, panie, wiem o tem.

— W takim razie wie pani również, iż dlatego tylko przedsiębraliśmy tutaj środki ostrożności, ponieważ on zjawił się znowu.

— Tak.

— A więc niebezpieczeństwo już minęło dla państwa Darzac, ponieważ on nie pokaże się więcej.

— Co się stało?

— Nie żyje.

— Odkąd?

— Od tej nocy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Podgórze.

Pierwszych czwartych stado całe
Mknie w zimie po wsi za żerem,
Gdy zgłodzone, zbyt są śmiałe,
Zwłaszcza, gdy są w polu szczerem,
Skrytką ich druga, część trzeciej,
Trzecia zawsze z wiosną płynie,
Całość dwa miasta na świecie:
W Litwie i polskiej krainie.

Logogryf.

Ułożył J. N. T. Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Litery środkowe, umieszczone w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko znakomitego polskiego poety.

```
      □
    — □ —
    — □ —
    — □ —
    — □ —
  — — □ — —
  — — □ — —
— — — □ — — —
  — — □ — —
  — — □ — —
    — □ —
    — □ —
    — □ —
    — □ —
    — □ —
      □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zjawisko nadprzyrodzone. 3. Imię męskie biblijne. 4. Rzeka w Afryce. 5. Biblijne imię żeńskie. 6. Wyspa pamiętna zwycięstwem Austryaków nad Włochami. 7. Mieszkaniec Ukrainy. 8. Dopływ Dniepru. 9. Rzeka pamiętna klęską książąt ruskich w r. 1224. 10. Zwierzę domowe. 11. Imię męskie. 12. Panujący. 13. Wykrzyknik. 14. Część gldwy 15 Samogłoska.

Zagadka literacka.

Ułożył K. Sokołowski, Śniatyn.

Wyszukać po jednym dziele każdego z podanych autorów. Początkowe litery dzieł, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko słynnego angielskiego dramaturga.

1. Gawalewicz ?
2. Deotyma ?
3. Rodziewiczówna ?
4. Gracowski ?
5. Mickiewicz ?
6. Korzeniowski ?
7. Zapolska ?
8. Niemcewicz ?
9. Wergili ?
10. Słowacki ?
11. Wilkoński ?
12. Prus ?

Arytmograf.

Ułożył W. Witaszek, Warszawa.

W miejsce cyfr wstawić litery, które w kierunku poziomym i pionowym dadzą imię i nazwisko sławnego zwycięzcy Turków, oraz dwie miejscowości, pod któremi odniósł zwycięstwo.

```
                   1  4
                   2  5
                   3  6
                   4  4
                   5  9
                   6 13
1  2  3  4  5  6   7  8  9 10 11  9  4 12
4  5  6  4  9 13   8  9 14  4  5  6 15 13
                   9 14
                  10  4
                  11  5
                   9  6
                   4 15
                  12 13
```

Logogryf.

Ułożył K. Sokołowski, Śniatyn.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy czytany z góry na dół utworzył nazwisko dwu sławnych malarzy hiszpańskich.

```
      □
    — □ —
  — — □ — —
    — □ —
      □
      □
    — □ —
  — — □ — —
  — — □ — —
    — □ —
  — — □ — —
    — □ —
    — □ —
— — — □ — — —
  — — □ — —
  — — □ — —
    — □ —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Inaczej lekarstwo. 3. Powieść Prusa. 4 Znany skorupiak. 5. i 6. Spółgłoski. 7. Napój. 8. Rodzaj wapienia. 9. Mieszkaniec Ukrainy. 10. Zwierzę z rodzaju mięsożerców. 11. Zwierzę przedpotopowe. 12. Waga. 13 Papuga. 14. Inaczej bieganie. 15. Zwierzę znane myśliwym. 16. Tytuł polskiej opery. 17. Ptak śpiewający.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Jerzego Żuławskiego:* **„Na srebrnym globie"**. Rękopis z księżyca.

UWAGA! Szanownych P. T. Czytelników, nadsyłających rozwiązania, upraszamy, by dołączali do nich znaczenia poszczególnych wyrazów, gdyż tylko takie mogą być dopuszczone do losowania.